Nr. 3 Warszawa, dnia 4 (16) Stycznia 1897 r. Rok XVII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70. kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 60, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

TURCYA I DYPLOMACYA.

Nie potrzeba było wypadków 1895 roku i ujawnionego w nich postępowania dyplomacyi, aby stwierdzić jej zamiar skończenia raz na zawsze z władzą sułtańską w Europie. Pod słowami, mówiącemi co innego, ukrywała się stale taka, a nie inna, wola, dążąca do raz wytkniętego celu. Im więcej było miodu na ustach, tem więcej grozy w zamysłach. Jeżeli się urzeczywistnienie ich odwlekło i jeszcze teraz odwleka, dowodzi to tylko, że prace przygotowawcze, roboty istotnie dyplomatyczne, usiłujące wytworzyć układ sił do działania potrzebny, nie dały się dotychczas ukończyć. Dzięki temu nowa kwestya wschodnia, przynajmniej przedostatnia już, jeśli nie ostatnia, wyczekuje jeszcze swej godziny — ale niezawodnie się jej doczeka. Nikt już dzisiaj za Turcyę nie położy zdrowej głowy pod ewangelią, bo nikt w możność spokojnego jej trwania nie wierzy, a niepokojów, utrzymujących ciągły rozruch w stosunkach, mieć nie chce. Turcya nie ma już dzisiaj przyjaciół, choćby interesownych, ale przy życiu w Europie utrzymać ją pragnących. Czasy wojny krymskiej niepowrotnie minęły.

Zmieniły się czasy nie pod jednym tylko tym względem. Od owej epoki rozrosło się, wzmocniło, nabrało silniejszego charakteru i mocniejszej też pięści twórcze samolubstwo państw. Przed pół wiekiem jeszcze umysły przystępne były dla interesów idealnych, mogły się nawet niemi zapalać. Wiek walki o byt zdolność tę albo przytępił, albo zupełnie z dusz ludzkich wygnał. Umiano też wówczas patrzeć na politykę, na stosunki ogólne, na interesa własne — oczyma przyszłości: nie doraźny pożytek, nie łup, jaki dać może przemijająca chwila dzisiejsza, ale stały porządek, stała konieczność, jakaby w razie spełnienia się lub niespełnienia danych zamiarów zapanować musiała—niosła nieraz wyrok rozstrzygający o programie polityki, o postawie dyplomacyi. Odczuwano się wówczas w pewnej stałej łączności, wierzono w potrzebę jakiegoś stałego układu sił w systemat, w równowagę mocarstw. Z wiary rodziły się pewniki, że własny interes, rozumiany nietylko na dziś, ale i na najdalsze jutro, nakazuje bronić interesów trzeciego, odpierać wpływy naruszające i stan jego osobniczego posiadania i zarazem ową równowagę, niezbędną dla wszystkich.

Rozwój dziejów przez dwa ostatnie pokolenia rozluźnił te węzły wspólności, we własnym interesie uznawanej. Nikt dziś na nic liczyć nie może, czegoby w samym sobie nie odczuwał i nie miał. Nikt w żaden systemat, w żadną równowagę nie wierzy. Wspólny jakiś pogląd, przekonanie o trwałych interesach zniewalające interesa i podniety chwilowe bądź dławić, bądź popierać — nie istnieje. Każdy chce dziś tylko jaknajwięcej zarobić, gdy się sposobność nadarzy i o sposobność tę się stara. Dogmat utrzymania Turcyi jest już dziś zszarzaną płachtą. Gdyby nie strach przed wojną, rosnący w miarę potęgi liczebnej i doskonałości technicznej, dziś już może nie byłoby sułtana w Europie. Los jakby umyślnie zesłał go na to, aby go już w Europie nie było. Ten strach jest sprzymierzeńcem Turcyi, jest przyjacielem przez pośrednictwo swoje odwlekającym katastrofę. Wszyscy rozumieją dobrze ten dreszcz trwogi tak powszechny. W grze wojennej stawiano dawniej setki i wołano *va banque*!—dziś potrzeba postawić miliony. Serce drętwieje.

Nigdy dyplomata nie był tak upragnionym, generał tak przerażającym, jak w obecnej dobie dziejów. Nigdy też rzemiosło słowa osłaniającego myśl nie miało tyle do roboty. Dyplomacya musi się wzbić na wyżyny artyzmu: musi i cel wytknięty osiągnąć i hazard krwawy odwrócić. Dobrowolnie teraz, z powszechną, jak najpowszechniejszą zgodą, stać się ma to, za co lały się dawniej krwi strumienie. Rozbiór Turcyi, rozpoczęty w r. 1877, poprowadzić dalej bez wojny — takie jest zadanie dyplomacyi. Oczywiście, nie darmo: przy konkursie w tem wielkiem bankructwie Turcyi każdy coś będzie chciał dostać — w gotówce, w wekslu, w rozdartym rewersie — i każdy też dostanie, jeśli się wszystko odbędzie w porządku i spokoju, któregoby nie zmąciło nic, prócz drgnień konającego turectwa. Roboty dyplomacyi, jej czujność, instynkt, rozum na ten jeden punkt tylko są teraz skierowane. Dawno nie było momentu politycznego, tak gorącego i zarazem tak ważnego, jak obecny.

Hrabia P. Szuwałow.

Dla nikogo, obznajmionego nawet powierzchownie z przyczynami i przebiegiem paraliżu, nie było wątpliwem, że hr. Szuwałow, który uległ mu przed paru miesiącami, będzie musiał wkrótce ustąpić ze stanowiska generał-gubernatora i głównodowodzącego wojskami okręgu warszawskiego. Jakoż Najwyższy Rozkaz z d. 25 grudnia uwalnia go od tych obowiązków „na własną prośbę z powodu nadwątlonego zdrowia."

Cechą kilkoletnich rządów hr. P. Szuwałowa w kraju naszym było wierne zachowanie istoty systemu poprzednika w nieco łagodniejszej formie. Być może, iż nie sama ciekawość zgromadziła wielotysięczny tłum przed dworcem kolei W.-Wiedeńskiej podczas przybycia nowego generał-gubernatora do Warszawy, bo

po społeczeństwie biegały różne domysły i legendy, które nawet dostały się do prasy rosyjskiej, zapowiadając jakiś zwrot. Rzeczywistość szybko zaprzeczyła tym urojeniom, a pewna zmiana, jaka istotnie okazała się, była raczej wynikiem spokojniejszego temperamentu hr. Szuwałowa i jego nawyknień, wytworzonych na wysokich stanowiskach dyplomatycznych, niż wypływała z odmienności poglądów i celów. Nie inaczej on sam chciał być rozumianym i ocenianym, skoro przy każdej sposobności wysławiał zasługi swego poprzednika.

Książę A. Imeretyński.

Najwyższym Ukazem z d. 13 stycznia ks. A. Imeretyński mianowany został generał-gubernatorem warszawskim i głównodowodzącym wojskami okręgu warszawskiego. Według *Warsz. Dziennika*, wstąpił on do służby w r. 1855. Od r. 1869 do 1873 był pomocnikiem naczelnika sztabu okręgu warszawskiego, a od 1873 do 1875 naczelnikiem sztabu tegoż okręgu. Następnie był książę Imeretyński pomocnikiem inspektora batalionów strzelców, naczelnikiem 2-ej dewizyi piechoty, naczelnikiem sztabu armii czynnej, naczelnikiem sztabu wojsk gwardyi i okręgu petersburskiego, oraz naczelnikiem głównego zarządu wojskowo-sądowego i naczelnym prokuratorem wojskowym, piastując ostatnią tę godność od 7 października 1881 r. do 1 stycznia 1892 r., w którym to roku został członkiem rady państwa.

Tydzień polityczny. Memoryał, który rzekomo otrzymać miał sułtan od dyplomatów europejskich, stopniał do ustnych przedstawień tak względem reform ogólnych, jak i kuracyi skarbowości tureckiej. Słowa na posłuchaniu ujęto w pismo i zostawiono je sułtanowi: oto cały memoryał.

Sułtan po dawnemu lęka się spisków: więzi i wypędza. Niejakiego Marianiego, lekarza, Włocha w służbie tureckiej, sprawiedliwość sułtańska wysłała bez sądu do Trapezuntu. P. Corti zażądał audyencyi, wyjednał powrócenie porwanego i odbycie nad nim sądu w Stambule, wobec dragomana poselstwa. Młodoturków znowu sporo dostało się do więzień, a może i na dno Bosforu. Ormianie nie wszyscy jeszcze skorzystali z amnestyi: większość podobno zażywa słodyczy uroczystych przyrzeczeń sułtańskich w lochach więziennych.

W Trapezuncie dopuściło się turectwo znowu mordów, których rozmiary wszakże telegramy dziennikarskie przesadzają.

Na Krecie jeszcze się nie zaczęła wolność, na jesieni poręczona, a już się na nowo rozpoczynają walki rasowe i wyznaniowe. Sułtan nie chce dopuścić cudzoziemców do organizowanej żandarmeryi: żandarmerya bez cudzoziemców — z przemagającymi Turkami — będzie raczej organem rozbojów, niż porządków. Dyplomacya targuje się z sułtanem.

P. Gołuchowski „dla zatarcia złego wrażenia odkryć bismarkowskich" — jedzie do Berlina na rocznicę Królestwa Pruskiego, Cesarstwa Niemieckiego i Orła Czarnego.

Cała Europa teraz zajmuje się działami szybkostrzelającemi. Francuzi i Niemcy już wstawiają pozycye w budżety. Setki milionów pójdą i na nowe machiny i na nowe bataliony, które Francuzi, za przykładem Niemców, teraz wytwarzają. Liczba ich dojdzie do 730 średnio, w każdem z tych państw. Szybkostrzelność artyleryi swej nadają już i Włosi. Myśli już o niej niezawodnie i Austrya. Jak też prędko nowy ten wynalazek starym się stanie?

Na Kubie powstańcom gorzej się powodzi. Gomez podobno skłania się do zgody: niechby się tylko Hiszpania skłoniła, a poręczyły Stany Zjednoczone. Rezolucyom w senacie zbraknie dość gorącej atmosfery.

Na wyspach Filipińskich ruch zbrojny trwa, ale słabnie.

Pomiędzy Stanami Zjednoczonemi a Anglią stanął na lat 5 układ o polubowne rozstrzyganie sporów. „Nowa epoka dziejów!" — zawołano: zobaczymy.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

KREDYT TANI I PARCELACYA.

W tych dniach *Gazeta Polska* otrzymała wiadomość z Petersburga, że tam w sferach ministeryalnych poruszono sprawę dostarczenia kredytu taniego dla drobnej własności ziemskiej, w celu uwolnienia jej od wyzysku „sąsiadów." przedsiębiorców, spekulantów zamożniejszych. Chodzi tu nietylko o własność włościańską, lecz i ten żywioł rolników drobnych, szlachty i mieszczan, którzy powstali na miejscu latyfundyów i wogóle wielkich dóbr, upadłych i rozkawałkowanych skutkiem wstrząśnień ekonomicznych lub szału nieoględności. Ta drobna własność ziemska w Królestwie Polskiem nie rozporządza kredytem hypotecznym. Towarzystwo kredytowe ziemskie, skrępowane swoją ustawą, jest dla osadników nieprzystępne; przepisy bowiem głoszą, że *minimum* pożyczki, udzielanej przez instytucyę, wynosi 500 rs. Otóż właściciel tej kategoryi rzadko potrzebuje dla siebie tak wysokiej kwoty, która zanadto obarczyłaby jego posiadłość. Nawet gdy chce dokupić kilka morgów ziemi, może poprzestać na mniejszej sumie. Gdyby wreszcie odważył się zaciągnąć ową pożyczkę minimalną, stanęłyby przed nim niezliczone formalności i koszty hypoteczne, tudzież rejentalne i taksowe.

Wobec tych przeszkód kredyt straciłby najważniejsze swoje cechy: taniość i dogodność. Bank włościański również wyłącza ze swych operacyj zupełnie wszystkich osadników, którzy do innych stanów

NAPOLEON ROUBA.

TRYPTYK.

Zbudził się też Teodor i wyszedł również przed chatę w swoim dostatnim kożuchu i fajką w zębach. Pozdrowił Jana i usiadł na małej ławeczce przed domem.

— A czy to Teodorowi nie pilno do domu i na pole? — zapytał z wyraźną niechęcią.

Chłop uśmiechnął się filuternie i odpowiedział:

— A czy to ja nie w domu?

Jan spojrzał na niego i osądził, że wczorajsza wódka jeszcze nie zupełnie wywietrzała z jego głowy; więc zostawił go w spokoju, a sam uzbierał dobrą naręcz resztek chróścianego płotu i zaniósł do chaty.

Obejrzał swoje liche gospodarstwo i zewsząd, jak codzień, zbierał smutne wrażenia nędzy i przymusowego bezrobocia. Pod okapem świronka obejrzał starannie trzy oparte sochy i jedną z nich odstawił na bok.

— Naklepię sam jakkolwiek „narogi," to i posłuży jeszcze czas jakiś, a dziś lub jutro dostanę wołów we wsi i zacznę orać pod siew.

Zaszedł do stajni i napoił starą kobyłę, na której najmniej znać było nędzę zaścianka. Długo ją pieścił, a później po długiem szperaniu w świronku wyniósł w worku trochę żytniego pośladu zmieszanego z sieczką i ofiarował to śniadanie faworytce.

Na tem skończył swoją czynność poranną, przy której jego ogromne kości i rozrosłe mięśnie jeszcze się nie ocknęły z sennego bezwładu.

Więc usiadł na kamieniu przy studni, a siedząc, patrzył i słuchał.

Słyszał, jak niestrudzony skowronek wzbijał się w górę ze swoją piosnką tak skromną, jak światek rolnika, i tak monotonną, jak jego dola codzienna — i nucił bez końca, bez zmęczenia, a jemu ten śpiew wydał się przykrym i natrętnym. Widział, jak bujnem kwieciem okryły się młode drzewka w sadzie, obiecując plon obfity na jesień, lecz ta odległa obfitość wobec smutnej teraźniejszości wydała mu się tylko urągowiskiem, więc zmrużył oczy, aby na nią nie patrzeć.

Ale blaski słoneczne dostawały się i przez powieki, aż tam kędyś głęboko, do duszy, i wnet budziły odgłosy pragnień ukrytych i wspomnień dawnych, takich dobrych i drogich...

Dreszcz żalu nim wstrząsa i jakby podrywa z miejsca: on gotów biedz, pracować choćby do potu, do krwi..., a widzi tu, przed sobą, Teodora-połownika, który ma z nim odtąd dzielić trudy i zyski..

— A niech tam! — rzuca w przystępie cichej, beznadziejnej rezygnacyi i odtąd już siedzi spokojnie, wygrzewając się w słońcu.

Na smugu, za rzeczką, niespodzianie ukazały się dwie bryczki, których widok zelektryzował Jana. Mogły one zdążać tylko do zaścianka. Bystry wzrok młodego już odróżniał jadące osoby.

— Wszak to nasz naczelnik z łowczym i jeszcze jakimś w mundurze! — Czy poznajecie Teodorze?

Chłop tylko głową skinął, unikając spojrzeń Jana, a oczyma zdawał się jeszcze kogoś upatrywać od strony lasu.

Jan chciał zrazu uprzedzić śpiącego ojca i zarazem przywdziać buty i samodziałową kurtę, lecz Teodor zatrzymał go uwagą, że starzec z wczorajszego wieczora mógł jeszcze się nie wytrzeźwić, a więc go lepiej nie budzić, zwłaszcza gdy nie wiadomo, z czem przybywają goście.

Lecz oto już i oni przed chatą.

Ten trzeci w mundurze — to komisarz sądowy, a celem przybycia wszystkich — zajęcie ruchomości Dominika Garbiela na korzyść pretensyj dziedzica i natychmiastowe usunięcie go z zaścianka na mocy formalnego wyroku sądowego w ostatniej instancyi.

Tyle zrozumiał Jan po kwadransie tłómaczenia, z którem chętnie pospieszyli wszyscy obecni, nie wyłączając Teodora.

— Gdzie jest ojciec? — zapytał wreszcie łowczy, niskiego wzrostu, lecz gruby, dość młody mężczyzna, ubrany z pewną przesadą, jak na tak wczesną wycieczkę.

— Śpi jeszcze.

nalecą. Przytem pożycza on tylko na kupno ziemi, nigdy zaś na grunty już posiadane, pomimo, że na melioracye, budowle itd. pożyczki tego rodzaju są częstokroć niezbędne.

To jest przyczyna, dlaczego drobny osadnik szuka pomocy lichwiarskiej i pomimo obostrzeń zawsze ją znajduje, gdyż lichwa działa u nas pod rozmaitemi postaciami, nawet nieprzewidzianemi i nieobjętemi przez nowe prawo. A przecież ta własność w Królestwie Polskiem zajmuje więcej, niż połowę ziemi. Małe osady obejmują przeszło jedenaście milionów morgów, gdy gospodarstwa folwarczne tylko dziewięć mil. Według p. Blocha kraj nasz liczy około 50,000 rodzin drobnej szlachty na 900,000 morgów własnego gruntu. W niektórych okolicach ludność ta posiada połowę ziemi, nieobjętej tabelami likwidacyjnemi (powiaty: Mazowiecki, Ostrołęcki, Kolneński, Siedlecki, Przasnyski i Łomżyński). Pod względem ekonomicznym znajduje się ona bodaj w gorszem położeniu, niż włościanie. Jest zabiegliwa, pracowita, ale na każdą rodzinę wypada przeciętnie niecałe dwa morgi gruntu. Kredyt więc, możliwie najtańszy, jest dla niej bardzo niezbędny.

Słuszne jest twierdzenie *Gazety Polskiej*, że stan obecny kredytu rolnego dla własności rolnej, nietylko na niej się odbija. Cierpi z tego powodu i własność większa: „Z ogólnej przestrzeni majątków większych 30%, a więc przeszło półtrzecia miliona morgów, przeciążone są długami, bo dźwigają brzemię zobowiązań hypotecznych większe, niż 75% wartości. Jedyny ratunek, jaki pozostaje właścicielowi, zagrożonemu z powodu nadmiernych długów hypotecznych, dałby mogła i nieraz daje parcelacya. Sprzedawszy część majątku, właściciel może uratować resztę. Dlatego też wszyscy zagrożeni upadkiem majątkowym zwracają się ku parcelacyi, jako deski zbawienia i ta dążność rozumna jest z osobistego ich punktu widzenia, a z motywów ogólno-społecznych daleko lepsza od zupełnych bankructw, które niweczą kulturę rolną, wykolejają ludzi i zniżają cenę ziemi w kraju. Żeby jednak parcelować majątki zagrożone, potrzebni są nabywcy. Potrzeba przytem, ażeby tych nabywców było wielu, bo ziemi zagrożonej jest za dużo; aby mieli łatwość prędkiego kupna, bo zagrożeni długo ze sprzedażą czekać nie mogą."

Pismo powyżej cytowane utrzymuje, że jedynie reforma obecnych stosunków kredytowych mogłaby otworzyć osadnikom drogę do obfitszego kupna ziemi folwarcznej, która jest do zbycia. To jeszcze niewystarczające. Gazeta zapomniała, że oprócz kredytu przystępnego trzeba stworzyć osobną machinerye działkowania. Jak wiadomo, w ruchu parcelacyjnym ważną rolę gra pośrednictwo, z którego wytworzyły się liczne rzesze aferzystów. Jest to żywioł nadzwyczaj ujemnie oddziaływający zarówno na interesy odłużonych sprzedawców, jak i nabywców. Z obrachunków Towarzystwa kredytowego wiadomo, że ziemia jest sprzedawana w ostatnich latach mniej, niż po 40 rs. za mórg, włościanie zaś i nabywcy z innych stanów płacą po 60 rs. Tak więc różnica 20 rs. na morgu, jest zarobkiem osoby trzeciej — spekulanta. Już ten jeden fakt dowodzi, że majątki skazane na sprzedaż w większości wypadków są nabywane po to, ażeby je zbyć korzystnie sposobem działkowania.

Na to zjawisko zwrócił uwagę Jan Bloch w wyczerpującej pracy p. t. „Bank włościański a parcelacya" (Warszawa, 1895). Z zestawionych tam cyfr autor przychodzi do wniosku, że znaczna część, sięgająca może ćwierci sumy, za którą włościanie nabyli grunty przy pomocy banku swego, stanowi zysk nabywających majątki na sprzedaż. Ponieważ ta suma wynosi blizko cztery miliony rs., więc kto wie, czy rolnicy wywłaszczeni, oraz ich wierzyciele hypoteczni nie stracili jakiegoś miliona rubli wskutek sprzedaży niepomyślnej.

Rachunek ten jest zbyt skromny; pomijając bowiem tranzakcye przy pomocy Banku włościańskiego, trzeba pamiętać o tem, że obrotni handlarze mają częstokroć bajeczne zarobki na dobrach, sprzedawanych przez ziemian. Nieraz kawałek lasu daje aferzyście trzy razy więcej, niż wynosi cała suma, którą zapłacił za majątek. Następnie po rozparcelowaniu gruntów ornych również otrzymuje znaczne sumy i sam jeszcze pozostaje przy najpiękniejszym kawałku ziemi z zabudowaniami. Jest to najkorzystniejsza forma obrotów, dokonywana za pomocą ziemi. Aferzysta mocny, bo zaopatrzony w kapitał, przychodzi z „pomocą" słabemu, bo zbankrutowanemu właścicielowi: kupuje za bezcen jego dobra. Następnie może wyczekiwać dogodnej chwili do sprzedaży lasów lub działek gruntów ornych. Dzieje się tutaj to samo, co z placami miejskimi. Zyski aferzystów rosną w takim stosunku, jak owego przedsiębiorcy, który niedawno na kupnie ogrodu i sprzedaży jego cząstek w środku miasta zarobił w ciągu kilku dni 100,000 rs. Zachodzi tylko ta różnica, że place kupują ludzie zamożni, gdy działki ziemi ornej drobni ubodzy rolnicy. Parcelacya wpływa nietylko na interesy włościan, lecz także drobnej szlachty i mieszczan osadników, tudzież większych właścicieli, którzy tą drogą mogliby się jeszcze ratować.

Racyonalny, dogodny kredyt, jest tu jednym z zasadniczych warunków i słusznie p. Bloch w powyższej pracy swojej ra-

---

— Obudzić go zaraz!—usłyszał Jan rozkaz potrójny, więc pospieszył do chaty.

Józia już była na nogach i ubierając się pośpiesznie, dopytywała się ciekawie o przybyłych.

Długiego czasu potrzebował Jan na to, aby rozbudzić ojca i wytłómaczyć mu, kto i z czem przyjechał.

Pan Dominik w miarę słów syna coraz szerzej otwierał krwią nabiegłe oczy, aż wreszcie zerwał się z ławy gwałtownie.

— A bydło synku? Gdzie bydło?

— Od godziny już w lesie.

Stary pochylił się i szeptał pośpiesznie do ucha synowi:

— Skoczno, Jasiu, do lasu, wezwij po drodze Kazika i w trzech z chłopcem pędźcie bydło wprost na Wilczy Ostrów, a stamtąd, już o zmierzchu, do Czepieliszek. Ja tam będę was oczekiwał.

Po tych słowach pan Dominik, już znacznie uspokojony, pośpiesznie naciągnął kapotę, ogarnął zawiesiste wąsy, włożył czapkę i wyszedł przed chatę.

To włożenie czapki, o ile nie było zwykłą czynnością, mogło stanowić wymowne świadectwo, że Dominik Garbiel — był niewątpliwym szlachcicem.

Powitał też zebranych przedstawicieli władzy z godnością i twarzą przybraną w maskę dobrodusznego zdziwienia, i natychmiast prosił o przedstawienie mu papierów, zapuszczając się w długą dyskusyę o nielegalności samego wyroku i zbyt pośpiesznem jego wykonaniu.

Dopiął zamierzonego celu, bo dostrzegł z radością, jak Jan wybiegł chyłkiem za świronek, przemknął się koło gumna a potem wpadł między pojedyncze brzozy i sunął śpiesznie do lasu.

Drwiący uśmiech przemknął po twarzy pana Dominika, który dobył z zanadrza okularów i z powagą zasiadł na małej ... wecze do systematycznego odczytywania dokumentów, mrucząc pod nosem: „protestuję, protestuję!"

Przedstawiciele władzy zdawali się być niewyczerpani w cierpliwości, a łowczy na stronie po cichu porozumiewał się z Teodorem, jakby już ostatecznie dobijał o coś targu.

— Józia, Józia! — zawołał pan Dominik.

Przed chatę wybiegła dziewczyna, z wyraźnem staraniem przybrana w swoje skromne perkaliki.

— Gości nam Bóg dał, więc proś do chaty — zwrócił się stary do córki, kiedy przybyli witali dziewczynę uśmiechem radości i niekłamanego zachwytu.

Komisarz sądowy atoli już stracił cierpliwość.

— Dość tych żartów, mój panie, chciej raczej nam otworzyć i wskazać wszystko, co jest tu waszego. Aresztuję to bowiem na rzecz pretensyj dziedzica, a was proszę o niezwłoczne opuszczenie zaścianka, bo będę zmuszony...

Stary szlachcic uśmiechnął się filuternie i odpowiedział z udaną pokorą:

— A to niech już panowie sami gospodarują, kiedy nie chcą widzieć we mnie gościnnego gospodarza.

Ruszono niezwłocznie na oględziny po wszystkich budowlach i składach, zaczynając od chaty. Łowczy przodował w tym pochodzie. Teodor go zamykał.

Pan Dominik pozostał na ławce i gestem przywołał córkę do siebie.

— Nie bądźże głupia i nie daj nic z twoich gałganków opisać, a resztę, no, niech tam sobie biorą!

Zaśmiał się zcicha, jakby z tryumfem.

— Jakże to ja mam nie dawać? — zapytała szeptem dziewczyna.

— Głupiaś!—odburknął gniewnie stary.

Oglądający wyszli z chaty, półgłosem zamieniając między sobą uwagi o ubóstwie mieszkańców zaścianka.

Łowczy szepnął w przechodzie, strzelając spojrzeniem zalotnem:

— Rzeczy panny Józefy nawet tknąć nie pozwoliłem.

Poczem przeszli do świrna i innych budowli.

Pan Dominik zapalił fajkę i czekał spokojnie, a Józia wróciła do izby i zaczęła krzątać się gorączkowo to przed kominem, usiłując ogień rozniecić, to przerzucając w alkierzyku swe nieliczne gałganki, jak nazwał ojciec cały jej majątek. Na twarzy jej malował się niepokój i rozbudzona silnie ciekawość. Czuła, że dzieje się coś koło niej niezrozumiałego, a jednak ważnego, co może wywołać gwałtowny przewrót w ich dotychczasowym bycie. Pojmowała, że nawet najgorsze nie będzie gorszem od dotychczasowego życia, a fantazya młodzieńcza podsuwała jej nadne myśli o odmianie, o czemś nowem

dził, ażeby Towarzystwo kredytowe ziemskie rozszerzyło działalność w tym zakresie. Byłoby to „lepiej dla włościan, lepiej dla ziemian, sprzedających grunty, lepiej dla rolnictwa krajowego i całego społeczeństwa."

Obecnie to samo, tylko szczegółowiej, doradza *Gazeta Polska.* Zaznacza ona, że obok art. 91 ustawy z r. 1888, który zamyka drogę do wchodzenia w tranzakcye z włościanami, istnieje i obowiązuje inny paragraf tejże ustawy, 81-szy, który upoważnia Towarzystwo do występowania z wnioskami, a także uzupełnienia ustawy przepisami, jakich potrzebę wskaże praktyka życia. Opierając się na tym artykule, instytucya może wystąpić z zabiegami i prosić o taką zmianę swoich przepisów, któraby jej pozwoliła na przyszłość udzielać pożyczek nietylko właścicielom większym, ale i mniejszym. Pismo nawet przypuszcza, że wobec zajęcia, jakie obudziła w Petersburgu kwestya taniego kredytu dla rolników, zabiegi Towarzystwa w tym zakresie doznałyby jak najlepszego przyjęcia. Więc Towarzystwo powinno prosić o pozwolenie na otwarcie osobnego działu kredytu hypotecznego dla własności drobnej. Kredyt ten byłby oparty na wzajemnej odpowiedzialności dłużników i nie wkraczałby w sferę odpowiedzialności obecnych stowarzyszonych. Projektodawca proponuje zasady następujące: kredyt ma być 4-procentowy i wynosić 100—500 rs., powinien poprzestawać na bezpieczeństwie hypoteki powiatowej, którą mogliby wprowadzić zarówno mieszczanie, drobna szlachta, jak i włościanie. Dla tych trzecich, w razie sprzedaży przymusowych, należałoby utrzymać nietkniętą obecną zasadę, że ziemię włościańską może kupować tylko włościanin. Fundusz rezerwowy własny tego oddziału powstałby z opłat umyślnych, procentów, kar, oszczędności Trzeba przytem zastosować zasadę prostą, że kapitał ten jest własnością stowarzyszonych *pro rata parte* i po spłacie pożyczki albo po jej odnowieniu, w odpowiednich warunkach może być wycofany. Pożyczkę płaconoby do wysokości połowy szacunku.

Tow. kred. ziemskie już niegdyś poruszało kwestyę taniego kredytu hypotecznego i podobno nawet miała być wybrana osobna delegacya. Te słabe zabiegi i projekty utonęły gdzieś bez śladu, jak wiele innych tonie. Jeżeli zaś mają być starania ponowione, to niechże kredyt zaspokoi wszystkie potrzeby, a więc i melioracyjne. Z funduszu przeznaczonego na ten cel w całem państwie, dla Królestwa przypadło w roku przeszłym 50,000, w bieżącym 100,000 rs. Wiemy tylko tyle. W jakiej zaś formie ta suma pójdzie na użytek rolnictwa naszego, nikt nam dotąd nie potrafił wyjaśnić. Wiadomości tego rodzaju giną we wzmiankach dziennikarskich, pomimo że mają doniosłe znaczenie ogólne. Warto, ażeby ci, którzy się zajmą organizacyą kredytu taniego, dotarli do źródła i zechcieli poprzeć potrzeby melioracyi nietylko większej, lecz i drobnej własności ziemskiej.

Jak rzekliśmy powyżej, sam kredyt do ułatwienia parcelacyi nie wystarcza. O tem pisaliśmy w *Prawdzie* obszerniej r. 1895, roztrząsając najnowsze dzieło Blocha. Obecnie uważamy za stosowne streścić tylko sformułowane wówczas ogólne nasze uwagi: Parcelacya powinna być świadomie zorganizowana i przedewszystkiem oparta na wiarogodnych, stałych informacyach; więc oprócz statystyki szablonowej potrzebne jest tu rzetelne badanie wszelkich zjawisk, szukanie przyczyn i warunków przyjaznych dla rozrostu spekulacyi. Słowem, niezbędna jest nietylko pomoc materyalna instytucyi finansowej, lecz i moralna ogółu. Gdy zniknie, a przynajmniej osłabnie pasorzytnicze pośrednictwo, gdy kredyt nie będzie połączony z kosztem, trudnościami i stratą czasu, gdy ster parcelacyjny doskonale będzie wiedział, gdzie i na jakich warunkach i jakie grunty są do sprzedania, kto i z jakich pobudek je sprzedaje, gdy odpowiednio będą skierowane rzesze nabywców — wtedy dopiero parcelacya stanie się w rolnictwie do pewnego stopnia dźwignią, ważnym czynnikiem w rozwoju ekonomicznym ludności włościańskiej i mieszczańskiej na roli, a wreszcie będzie środkiem ratunku dla ziemian zachwianych. Odcięcie części dóbr na sprzedaż działkową może względem większych posiadaczy odegrać taką rolę, jak wzmacnianie drzewek owocowych i krzewów za pomocą nożyc ogrodniczych.

DLA CHORYCH NA PIERSI.

Jest to kategorya chorych, którzy najmniej doznają pomocy od społeczeństwa, najmniej mają urządzeń zdrowotnych. Setki tysięcy ludzi chodzi z zarodkami zabójczego cierpienia lub nawet całkowicie rozwiniętem, roznoszą je i obdarzają niem innych, ku czemu dopomaga pieczołowita matka wszelkich najcięższych niedomagań — nędza. Kiedy idzie epidemia, zagarniająca ryczałtowo masy ofiar, ludność uzbraja się w środki ostrożności i oszańcowana urządzeniami zdrowotnemi, stara się usilnie zwyciężyć zarazę. A jednak nie zabiera ona tyle ofiar, co inny wróg podstępnie, skrycie porywający codziennie ofiary. Gruźlicę możnaby nazwać skrytobójczynią, bo nieraz śmierć przez nią zgotowaną przypisują innym przyczynom.

Dr. Seweryn Sterling w pracy swojej („Podmiejskie uzdrowiska szpitalne dla chorych piersiowych"), która obecnie daje nam powód do artykułu, twierdzi, że

---

i nieznanem. Może się udadzą do Czepieliszek, a może gdzieś w służbę pójdą do dworu? Ojciec opowiadał im nieraz o wielkiem mieście z bramą cudownej Matki Boskiej; więc może teraz po stracie własnego kąta ruszą wszyscy pod opiekę tej Dobrej Matki.

Jej tu nic i nikt nie wiązał, oprócz tej skromnej mogiły na cmentarzu wioskowym, którą przecie nie zapomni pożegnać i ucałować.

Na wszelki wypadek ukryła za gorsem swoje jedyne kosztowności: kolczyki srebrne po matce i duży pieniądz srebrny, dany jej niegdyś przez nieznajomą matkę chrzestną.

Oględziny urzędowe ze szczegółowym spisem rzeczy już zrobiono. Objęto aresztem wszystko, cokolwiek pozwalało prawo, choć większa część przedmiotów była prawie bez wartości.

Komisarz sądowy zdradzał ogromne niezadowolenie, gdyż sprzedaż obiecywała mu nader mały procent, jako wynagrodzenie za tak ciężką i kłopotliwą wyprawę.

Łowczy pochylił się ku niemu i coś mówił, kilkakrotnie wskazując oczyma na las poblizki.

— Dobrze, aby tylko prędzej! — mruknął urzędnik, a potem zaczął wypytywać pana Dominika, gdzie jest jego bydło, świnie, ptactwo domowe itd.

— Chyba niema, kiedyście panowie nie dojrzeli — zaczął pan Dominik ironiczną gawędę.

— Bydło być musi — wtrącił łowczy.

— Niech pan je weźmie; żałuję bardzo, że nie mogę panom oddać jedynej klaczy, która mi jest potrzebna już choćby dla zaniesienia nowej skargi na czynności panów.

— Dobrze, a tymczasem niech pan komisarz jeszcze dopisze dziesięć sztuk bydła — przerwał radośnie łowczy.

Starzec zaśmiał się sucho i gwałtownie, ale śmiech ten zamarł mu na ustach i twarzy...

Z lasu, o sto kroków mniej więcej, kilku leśników z blachami na piersiach, pędziło jego bydło, a poza tą gromadką wlókł się jakby zawstydzony Jan i pastuszek głośno płaczący.

Łowczy z wyrazem tryumfu i nieukrywanej złośliwości zwrócił się do starca.

— Nosił wilk razy kilka, dziś poniosą i wilka.

Starzec, nieprzytomny z gniewu, rzucił się bronić swej ostatniej własności, groźnie wywijając jedynem ramieniem i idąc na spotkanie bydła.

— Związać go, chłopcy! — krzyknął urzędnik, zachęcony przez łowczego, który się ukrył za jego plecami.

Leśnicy wykonali rozkaz natychmiast, bo pan Dominik nie miał miłości i poważania nawet u najbliższych sąsiadów.

Umieszczono starca na tej samej ławce, którą zajmował przed chwilą.

Był prawie spokojny, tylko oczy krwią zaszłe biegały niespokojnie, twarz stała się prawie fioletową, lecz usta zacisnęły się kurczowo i nie wydawały żadnego głosu.

W dwóch susach Jan stanął przy ojcu, a jednocześnie Józia wybiegła przed chatę.

Była chwila krótka, kiedy oczy Jana zabłysły szałem gniewu i rozpaczy, a muskularne ciało jakby gotowało się do strasznego, zwierzęcego skoku...

Komisarz machinalnie rozpiął paltot i wydobył na wierzch oznaki swojej władzy, a jego towarzysz przybrał natychmiast sztywniejszą postawę.

Józia zawisła ramionami na szyi brata.

— Janku, mój bracie, pójdźmy stąd jak najprędzej!

— Możecie nawet odjechać, bo kobyłę wolno wam zabrać — dodał łagodnie urzędnik.

Olbrzym ochłódł w jednej chwili i ramiona mu zwisły bezwładnie. Komisarz sądowy uznał za najlepsze zająć miejsce w bryczce i tam już usadowiony odczytał naprędce urzędowy opis ruchomości, podległych aresztowi, i wobec świadków zdał dozór nad niemi aż do czasu licytacyi Teodorowi.

— Od dziś ty tu jesteś posesorem, pamiętaj, aby i z tobą kiedyś tak nie było — dodał od siebie łowczy, coraz butniejszą przybierający postawę od czasu, jak skrępowano starca i jak się ujrzał otoczonym przez podwładnych leśników.

Jan i Józia stali w osłupieniu, niezdolni prawie pojąć, co się dzieje dokoła nich, a pan Dominik milczał... przerażająco długo już milczał, bez głosu ruszając ustami i łypiąc oczyma.

Komisarzowi było pilno.

wszystkie epidemie cholery azyatyckiej, które Europę w wieku bieżącym nawiedziły, zabrały drobny zaledwie ułamek tej liczby ofiar, jakie gruźlica przez tenże czas pochłonęła. Według Sommerfelda, w Niemczech umiera rocznie na tę chorobę 170,000—180,000 osób (Bollinger liczy 250,000). Na każde 1,000 zgonów w wieku lat 0—1 gruźlica daje 10,8, na 1,000 w wieku 1—15 lat—62,2, na tyleż zgonów w wieku 15—60 lat na gruźlicę przypada 322,3. W Warszawie podczas wszystkich epidemij cholery od r. 1831 do 1892 zmarło na cholerę osób niespełna 18,000, kiedy z powodu jednej tylko gruźlicy płuc umiera co rok średnio 1,363. Według B. Danielewicza, w Warszawie od r. 1888 do 1892 przy ogólnej śmiertelności 25,54% umierało średnio co rok 12,044 osób. Na każde 100,000 żyjących wszelkiego wieku zmarło z powodu suchot płucnych 289,2, z gruźlicy opon mózgowych 62,5 osób. Na każde 1,000 zgonów ludzi wszelkiego wieku z powodu wszystkich przyczyn śmierci wypada na suchoty płuc 113,22, na gruźlicę opon mózgowych 24,46, czyli na 1,000 zgonów 137,68 zmarłych z powodu gruźlicy wyraźnie rozpoznanej i w świadectwie śmierci oznaczonej. Stanowi to więcej, niż 1/8 ogólnej liczby zgonów. W najproduktywniejszym okresie życia (od 20 do 40 roku) na każde 1,000 zmarłych suchoty płuc zabierają 390, tj. każda trzecia osoba z liczby zmarłych w tym wieku zginęła od gruźlicy płuc.

Wobec tych danych jaskrawo się odbija fakt, zaznaczony przez d-ra Sterlinga, że podczas gdy na pokonanie cholery wydano wielkie sumy, na walkę z gruźlicą ani grosza nie poświęcono! Otóż autor porusza bardzo ważną kwestyę — urządzenia odpowiednich uzdrowisk, które muszą być ściśle zastosowane do charakteru samej choroby, tj. przedewszystkiem powinny przeciwdziałać czynnikom, wytwarzającym owo cierpienie. Tych czynników, urabiających grunt dla choroby w organizmie ludzkim, jest cztery kategorye: 1) dziedziczność, czyli odziedziczona skłonność chorobowa (w minimalnej tylko liczbie wypadków bezpośrednio z rodziców na płód przeniesiony zarazek), objawiająca się zarówno w budowie anatomicznej, jak i we własnościach czynnościowych narządów i tkanek. 2) Ogólne czasowe wyczerpanie ustroju, cielesne i duchowe (choroby gorączkowe, niedokrwistość, moczówka cukrowa, długotrwały głód, alkoholizm, tęsknota, rozpacz, strach). 3) Stałe osłabienie ustroju przez niepomyślne warunki życiowe i zawodowe. 4) Osłabienie narządów pojedynczych (np. oskrzeli, płuc) przez choroby swoiste. Gdyby nie te czynniki, ziarno zniszczenia, jak mówi dr. S., padłoby na grunt granitowy i spełzło bezpotomnie.

Jak doniosłe znaczenie mają te warunki, wymownie stwierdza statystyka śmiertelności osób, pielęgnujących suchotników, tj. zmuszonych nieustannie stykać się z zarazkiem gruźliczym, obficie unoszącym się w kurzu sal szpitalnych: Kiedy dozorczynie chorych w Berlinie, zwykłe najemnice dają 1% śmiertelności, wywołanej gruźlicą, zakonnice w Monachium, niewychodzące z sal szpitalnych, wycieńczone postami, dają 62% śmiertelności z powodu gruźlicy płuc. Stwierdzono już niejednokrotnie, że więźniowie przez długi czas zamknięci w celach, pozbawieni świeżego powietrza, są dziesiątkowani przez gruźlicę, gdy nierównie rzadziej ulegają tej chorobie skazańcy pracujący na świeżem powietrzu.

Te i inne liczne przykłady dowiodły, że zniszczenie ustroju ludzkiego przedewszystkiem zależy od ilości wprowadzonego zarazka i od jego zjadliwości. Niewątpliwie prawie każdy człowiek nosi w sobie te drobnoustroje, które wtedy tylko zapanowują w organizmie, gdy ten jest wycieńczony lub systematycznie wyczerpywany pracą i niepowodzeniem. Gdyby nie odporność ustrojów silnych lub korzystających z przyjaznych warunków bytu, cała ludność, zwłaszcza miejska i wogóle pracująca wspólnie w różnych ogniskach, byłaby skazana na zagładę, gdyż ciągle połyka bakterye gruźlicze.

Dr. Sterling widzi obronę w organizacyi zakładów szpitalnych podmiejskich, przeznaczonych dla osób wogóle chorych *na piersi*, chodzi tu bowiem nietylko o ludzi niewątpliwie dotkniętych suchotami, lecz także i *usposobionych* do tej choroby. Na zachodzie Europy takie zakłady istnieją już w wielu miejscach. W Niemczech stworzono w roku świeżo ubiegłym komitet centralny pod przewodnictwem kanclerza państwa, zajmujący się statystyką gruźlicy, zbieraniem pieniędzy na uzdrowiska i agitacyę na rzecz tych zakładów. Obecnie dzięki owym zabiegom, już w kilku miejscowościach tego państwa powstają takie uzdrowiska, między innemi dla chorych niezamożnych. Towarzystwa ubezpieczeń (*Invaliditats Versicherungen*): badeńskie, brandenburskie, brunświckie, hanowerskie, lubeckie, heseńskie, oldenburskie, poznańskie i inne wysyłają swych ubezpieczonych, gdy na gruźlicę zapadną, do uzdrowisk własnych lub wspólnych. W malutkiej Szwajcaryi istnieją już trzy takie zakłady lecznicze, a pięć wkrótce powstanie. Austro-Węgry bądź budują, bądź zbierają pieniądze na ten cel. Anglia posiada 16 zakładów tego rodzaju. Paryż buduje uzdrowisko na 200 łóżek i przytułek dla suchotników nieuleczalnie chorych na 400 łóżek. Prócz tego w różnych miejscowościach Francyi istnieje mnóstwo zakładów dla dzieci gruźliczych. Belgia, Holandya i Dania posiadają zakłady tylko dla dziatwy. W Finlandyi istnieje sanatoryum Halila, z funduszów Cesarza utrzymywane, na 32 chorych cywilnych i 100 oficerów okręgu petersburskiego. Niedawno zaś ministeryum dóbr państwa wyznaczyło rs. 100,000 jednorazowo i 3,000 zapomogi corocznej na budowę drugiego sanatoryum w Willmanstrandzie (Finlandya) nad jeziorem Sajma.

Najważniejszym warunkiem takich zakładów powinno być urządzenie hygieniczne oraz dużo powietrza czystego w każdej porze dnia i nocy. Uzdrowisko powinno posiadać ogród, łąki, gdzie chorzy w miarę przybywania sił, mogliby się oddawać pracy, używać ruchu na świeżem powietrzu. Najodpowiedniejszem miejscem jest skraj lasów, któryby z trzech stron tamował przystęp wiatrów. Od południa tylko przestrzeń powinna być otwarta. Przedewszystkiem zaś należy ochraniać miejscowość przeznaczoną dla chorych od wiatrów północno-wschodnich i północno-zachodnich. Zakład powinien być zdala od miasta, fabryk, a nawet wsi ludnej. Sam budynek, zwrócony frontem ku południo-

---

— Możecie go rozwiązać — pozwolono leśnikom, kiedy bryczka już ruszała z zaścianka.

Starzec rozwiązany zachował się również nieruchomo.

— Panie Garbiel, wola boża!.. Nie macie już tu co robić, chodźcie więc do mojej chaty, aż coś na przyszłość wy i dzieci wasze z sobą postanowicie — nieśmiało zaproponował jeden z leśników, starzec białowłosy.

— Mogą przecie i tu, u mnie, pogościć czas jakiś — ofiarował się z gościnnością Teodor, pożądliwie spoglądając na Józię.

— Janowi mogę wyrobić służbę w sąsiednim dworze z ordynaryą, lepiej wam tam będzie, niż tu w zaścianku — wystąpił łowczy, poufale kładąc dłoń na ramieniu Józi.

— A możebyś teraz poszła do mnie na gospodynię?— szepnął na ucho dziewczynie.

W tej chwili jakaś dłoń olbrzymia ujęła za gruby kark pana łowczego i trzęsła całą jego figurką, jak torbą sieczki.

— Panie łowczy, wielmożny panie łowczy! — syczał Jan blady i drżący ze wzruszenia — idź ty swoją drogą i daj nam myśleć samym o sobie. . Wziąłeś już nam wszystko, co mogłeś, ale nas nie dotykaj, bo cię tu wnet oprawię, jak należy...

Domawiając tych słów otworzył dłoń i puścił struchlałego dygnitarza, który upadł niezręcznie na kolana, a potem zerwał się gwałtownie i skoczył do bryczki.

Stłumiony śmiech dał się słyszeć wśród leśników.

— Ja wam pokażę, żebraki! — rzucił łowczy już na odjezdnem.

A pan Dominik wciąż milczał, wodząc wzrokiem obłąkanym po twarzach otaczających, nie widząc nic i nic rozumiejąc, co się działo dokoła niego.

— Tatu, tatuńciu! — wołała Józia już z płaczem, tuląc się do jego ramienia.

Starzec drgnął raz jeden, spojrzał przytomniej na córkę i syna, w oczach jego zabłysły łzy...

Po chwili już wrócił do stanu zupełnej nieczułości.

Obecni widzą, że mu on odjętą mowę i przytomność, lecz nie śmią przypuszczać że to już... na resztę dni życia.

Krzątają się wszyscy i trzeźwią porażonego w najrozmaitszy sposób, ale daremnie.

Jan również milczy, ale po chwili otrząsa się energicznie i wchodzi do chaty

Z lasu wynurza się wóz słomą wysłany i pędzi pośpiesznie do zaścianka, wprost przed chatę.

Białowłosy leśnik, nie patrząc, mówi:

— Ot i mój Kazik.

Z wozu zeskakuje młody, przystojny chłopak z czarną czupryną i wąsikami i idzie powoli ku starcowi i Józi.

— Ja tu przyjechałem po was — mówi nieśmiało, starając się odgadnąć, co się tu stało przed chwilą.

Dziewczyna odpowiada słabym rumieńcem i ukradkowem spojrzeniem.

Jan wychodzi z chaty, dźwigając dwa spore zawiniątka z ubrania i bielizny, nieobjętych aresztem, które Kazik odbiera od niego i bez pytania układa na wozie.

Syn ujmuje ojca pod ramię.

— Chodźmy stąd, tu niema dla nas już miejsca!

Tak samo, gdy dąb stary silna burza złamie i wstrząśnie pniem jego do głębin korzeni, młode pędy wnet z siłą ukrytą szybko wzrastają i tulą przy sobie jeszcze czas jakiś spróchniały pień ojczysty...

Starzec nie ruszył się, ale postawiony na nogi poszedł bez oporu i usiadł na wozie razem z siwowłosym leśnikiem.

Kazik ujął konia za uzdę. Jan skoczył po swoją kobyłę, a Józia poszła przy wozie.

Ruszył pochód, a za nim owlókł się skulony i ponury Kruczek...

Przed chatą został tylko Teodor, już z fajką w zębach, ale na twarzy jego nie było uśmiechu, bo go zmroził ten smutny, pogrzebowy akt, który i dla niego był zrozumiały.

— Kruczek, na tu! na chleba! — zawołał na psa.

Pies kilkakrotnie obejrzał się na chłopa, na zaścianek, pokręcił ogonem, szczeknął raz i drugi, lecz poszedł za Janem, snadź zniewolony pamięcią ostatniej, ubogiej wieczerzy.

(D. c. n.)

wi, musi posiadać: pokój lekarski, poczekalnię, sypialnię dla 4—10 chorych, tudzież osobne dla pojedynczych, ciężko chorych, nieustannie kaszlących, osłabionych po krwotokach; salę stołową, altanę itd. Należy również uwzględnić wszelkie rozrywki, a więc do warunków niezbędnych należą: fortepian, gry, gazety, obrazy, kwiaty itd. Na gruncie uzdrowiska musi być woda dobra, łatwo dostępna.

Po za tem tryb życia chorych powinien być poddany ścisłej hygienie: „kuracya przez leżenie" w altanach, u góry z trzech stron ścianami oszklonemi zasłoniętych. Chorzy leżą przepisaną liczbę godzin na szezlongach, nawet podczas słoty, zimna i mrozu. Następnie: leczenie wodą, odpowiednie karmienie, stworzenie takiego otoczenia i warunków, ażeby te dały możliwie największy spokój duchowy. Przychodzący do zdrowia, a przynajmniej pewnego wzmocnienia sił, powinni być powoli przyzwyczajani do pracy. Służba musi być inteligentna i należycie przyuczona.

Pomyślny wynik leczenia ułatwiają warunki następujące: wczesne rozpoznawanie choroby i wczesne umieszczanie chorych w uzdrowiskach. Nieprzyjmowanie chorych beznadziejnych. Należy tworzyć oddzielne zakłady dla zupełnie niezamożnych, osobne zaś dla tych, którzy mogą zwracać koszt utrzymania.

Jeżeli się rozejrzymy dobrze po kraju, znajdziemy wiele miejsc odpowiednich dla stworzenia takich zakładów. W naszym klimacie przy powyższej organizacyi chorzy mogą się leczyć pomyślnie. Warto więc, żeby ten głos d-ra Sterlinga nie przebrzmiał bez echa, jak poprzednich orędowników tej sprawy, doktorów: Herynga, Sokołowskiego, Lutostańskiego, Zieleniewskiego, Dobrzyckiego, prof. Jaworskiego, Jaruntowskiego. Do r. 1882 w Mieni, za Nowomińskiem, istniał szpital dla chorych na piersi, pod kierunkiem dr. H. Dobrzyckiego. Skutkiem znamiennej obojętności ogółu, zakład ten upadł, o innych zaś nie myślimy wcale. Świadczy to tylko, jak społeczeństwo nasze nie zdaje sobie sprawy z klęski, wyrządzanej mu przez straszną chorobę i nie jest dostatecznie uświadomione w zakresie hygieny. Mamy Towarzystwo opieki nad zwierzętami, mnóstwo klubów i instytucyj sportowych, a nie mamy z szerokim programem stowarzyszenia hygieny, któreby przygotowało społeczeństwo do pracy zsolidaryzowanej około zdrowia powszechnego.

Z. P.

LIBERUM VETO.

Zwrot ku lepszemu, czyli ważna reforma dziennikarska.— Ofiara *Przeglądu Katolickiego* i jego warunek. — Nominacya opiekuna. — Kilka wspomnień dla objaśnienia solidarności prasy warszawskiej. — Obwiązywanie rozsypanej beczki. — Atak na Towarzystwo ogrodnicze. — O czem nie należy marzyć i na czem można poprzestać.

Rok nowy zesłał nam taką ciżbę niezmiernie ważnych wypadków, że nie wiem, które z nich wybrać dla polecenia szczególnej uwadze czytelników i jak je uczcić. Za najdonioślejszy uznany został, bardzo słusznie, przez pewną część prasy warszawskiej ten, który „jest początkiem zmiany na lepsze," mianowicie... zaprowadzona w *Kuryerze Warszawskim* rubryka głosów innych pism. Człowiek nigdy nie wie, kiedy tworzy największe swoje dzieło i dopiero dowiaduje się o tem od innych ludzi. Więc chociaż nowy redaktor *Kuryera* sądził, że ta jego reforma będzie pożyteczną, nie przypuszczał zapewne, że za nią spadnie na jego głowę deszcz liści wawrzynowych, że popełnił on „czyn godny zarówno szlachetnego człowieka, jak i rozumnego publicysty." A przecież tak jest. To też tylko zdarzenia wyjątkowej wagi i wpływu bywają przedmiotem takiego zajęcia się prasy naszej, jakiego dostąpiła owa rubryka. Mamy więc już jedną rękojmię, że rok 1897 będzie lepszy.

Mamy ich więcej. *Przegląd Katolicki*, doczekawszy cierpliwie tej chwili, kiedy fundusz dla Biegasa został całkowicie zebrany, zaofiarował ze swej strony na ten cel 25 rs. rocznie pod warunkiem, że opiekę nad młodym artystą będzie miał proboszcz ze wsi Koziczynka, ks. Rzewnicki. Ponieważ Biegas nie będzie się kształcił w Koziczynku, lecz w Krakowie; ponieważ nie będzie się uczył ministrantury, lecz historyi, arytmetyki, geometryi, języków, a przedewszystkiem rysunku i rzeźby; ponieważ pieniądze dla niego dobrzy ludzie złożyli bądź na ręce niejakiego Świętochowskiego, który go im wskazał, bądź niejakiego Rajkowskiego, który wraz z żoną o jego los się zatroszczył; ponieważ w Krakowie nad jego sprowowaniem się i zdrowiem czuwać będzie niejaki Bojwid, a nad rozwojem jego talentu profesorowie szkoły sztuk pięknych — powstaje przeto bardzo trudne do rozstrzygnięcia pytanie, jak swą opiekę wykonywać ma ks. Rzewnicki z Koziczynka i jakim sposobem uratować można decydujące o przyszłości młodego artysty 25 rs. *Przeglądu Katolickiego*? Widzę tylko jedną drogę wyjścia z tego trudnego położenia: mianowicie niech owi Świętochowski i Rajkowski, nieodpowiedzialni moralnie, zwrócą pieniądze ofiarodawcom, którzy *w znacznej części* przysłali im je z wyraźnem zastrzeżeniem osobistego do nich zaufania, natomiast niech *Przegląd Katolicki* da Biegasowi 25 rs. i na nitce przywiązanej w Koziczynku puści go w świat. Taka wszakże hojna „pomoc" i taka skuteczna „opieka" miałyby tę ujemną stronę, że zapewniłyby Biegasowi tylko całość butów i ubrania, a on zasługuje na dary lepsze. Dlatego właśnie my musimy pozostać przy naszem względem niego prawie, a raczej przy bardzo trudnym i kłopotliwym obowiązku. Wiem bardzo dobrze, że są u nas ludzie, którzy z ciężarów społecznych wybrali dla siebie: opiekę, dozór, kierownictwo nad cudzą pracą i cudzymi środkami, którzy w chwili, kiedy inni coś zrobili, zgłaszają się z gotowością przewodniczenia. Jest to — jak mówią bohaterowie Junoszy — „śliczny interes," ale nie każdy mu się chce poddać, a już co do mnie, wyznaję, że nie posiadam żadnej zdolności służenia ślicznym interesom.

Ów „pożądany zwrot," którego koroną jest rubryka prasy w *Kuryerze Warszawskim*, a który ma nas doprowadzić do „zjednoczenia organów opinii publicznej w sprawach społecznych," zarysował mi się bardzo wyraźnie pod koniec zeszłego roku. Kiedy zwróciłem uwagę kilku redaktorów i czytelników naszych na Biegasa, a zwłaszcza kiedy skutkiem tego zaczęły płynąć dlań zasiłki, natychmiast w niektórych pismach zaczęły się pojawiać pod adresem jego „protektorów" oskarżenia o sfałszowanie szczegółów jego życia, inteligencyi, nawet nazwiska, wyprowadzony został z wielkimi honorami na arenę jako „dobroczyńca" nieznany dotąd p. Panasiuk, a gdy to wszystko nie pomogło i fundusz został zebrany, zamianowano dla młodego artysty „opiekuna." odmówiwszy zasługi i wpływu tym, którzy zabiegami swymi zapewnili mu możność kształcenia się. Przypatrywałem się tej mizernej farsie z tym samym uśmiechem, z jakim patrzę na nią od lat 20 kilku. Bo odgrywano ją już nieraz, a kilkakrotnie na mój benefis. Kiedy przed 18 laty, jako redaktor *Nowin*, ogłosiłem publiczną kwestę dla dotkniętych głodem Szlązaków, prawie wszystkie dzienniki warszawskie odmówiły poparcia — co mi nie przeszkodziło posłać biedakom parę wagonów zboża, mąki, grochu i innych artykułów żywności. Kiedy przed 16 laty podjąłem wydanie książki jubileuszowej dla Jeża, prawie wszystkie dzienniki warszawskie nie chciały pomieścić o niej zawiadomienia — co mi nie przeszkodziło zebrać ze sprzedaży *Ogniska* i posłać Jeżowi 17,000 franków. Toż samo powtórzyło się z Biegasem: wszelkimi sposobami paraliżowano ofiarność dla niego, a on ma zapewniony fundusz na kształcenie się przez lat cztery.

Wskrzeszam te dawne i świeże wspomnienia nie dlatego, ażebym z nich chciał wydobyć dla siebie jakąś szczególną chwałę, bo takie czyny uważam za zwyczajne objawy dobrej woli i energii działania publicznego, ale żeby zilustrować błogosławioną obecnie „solidarność prasy naszej w sprawach społecznych" i usprawiedliwić mój humor wobec ostatniego jej dowodu. Ci szanowni panowie, którzy ustawicznie kręcą korbę kataryniki z jedną melodyą owej „solidarności," a którzy umieją cenić i przeceniać tylko własne roboty, którzy przemilczą o każdej zasłudze, znieważą każdy uczciwy i pożyteczny czyn po za obrębem swego bractwa, niech mi wierzą, że oni nigdy tak szczerze nie śmieli się z niczego, jak ja się śmieję z ich zabawnych min i ich małości. Zarówno w sprawie Biegasa jak każdej innej, cokolwiek oni powiedzą, moja karawana pójdzie swoją drogą i do swego celu. Na to nie znajdą żadnego środka w całym arsenale swojej małońkiej złości. Niech będą również pewni, że o ile oni zechcą związać prasę warszawską względami dobra społecznego, będzie to opasywanie słomianemi powrósłami zeschłej i rozpadającej się beczki, z której zawsze wycieknie owo dobro społeczne a pozostanie w niej tylko gęsty osad pretensyj i dążeń osobistych. Chcąc bowiem temu dobru służyć, trzeba je ukochać gorąco, we wszystkiem i wszystkich, a nietylko w swojej główce, w swojem serduszku i w swoim interesiku. Takim główkom i serduszkom zdaje się, że stanowią drożdże narodu, który bez nich przestałby rosnąć, że gdy oni zaczną uczęszczać razem do jakiejś knajpy i wpadać wzajemnie w zachwyt nad swoją wielkością, utworzą potężną konfederacyę, która owładnie przekonaniami ogółu i stłumi żywioły z nią nieskojarzone. A tyle razy już sparzyły się przy tym ogniu stare dzieci!

Jak pięknie wytrzymała próbę czynu tak uroczyście zapowiedziana „solidarność prasy warszawskiej," mieliśmy inny dowód w zeszłym tygodniu. Obłożnie zachorował i znalazł się w ciężkiem położeniu poeta i dziennikarz, współpracownik *Słowa*, p. Łętowski. Któż uczuł obowiązek ratowania go? Wydawcy, którzy z jego pracy korzystali? Nie, są zapewne na to za biedni. Więc może koledzy po piórze, towarzysze wspólnego sztandaru pod godłem „solidarność"? Także nie. Pospieszyli z pomocą choremu biedakowi muzycy i śpiewacy, którzy urządzili dla niego koncert. Ci ze wszech stron i na wszelkie cele wyzyskiwani dobrodzieje, to udręczone ciągłymi alarmami „pogotowie ratunkowe" naszego miłosierdzia musiało wyciągać z niedoli również dziennikarza, bo „solidarna prasa" nie mogła mu zaofiarować swych usług. Śliczna prasa i śliczna solidarność! Na lepszą, niż ona, „wspólność działania" zdobywają się bociany, bo gdy który zachoruje i nie może wraz z innymi odlecieć, to go przynajmniej zadziobują, ażeby się nie męczył i nie zdechł z głodu w zimie. Małpy posuwają swoje współczucie jeszcze dalej, bo — jak zapewnia Darwin — bronią całą gromadą tej, która się znalazła w niebezpieczeństwie.

One mogłyby prawo mówić o solidarności, ale nie dziennikarze warszawscy, którzy w najlepszym razie, jak wysypane z worka raki rozłażą się w rozmaite strony, a zwykle jak szczupaki pragną połknąć siebie wzajem i wszystkie ryby pływające w jednej z nimi sadzawce. Podobno nieraz w szczupaku tkwi drugi, w drugim trzeci, w trzecim czwarty; gdyby rozpruć dziennikarza warszawskiego, możnaby w nim odkryć podobny obraz „solidarności.“ Dlatego właśnie są oni najwymowniejsi i najczulsi w nekrologach: żyjącym towarzyszom nie przebaczają nawet odmiennej łuski, ale umarłym sypią na mogiłach góry pochwał. Dlatego również według zdania „zsolidaryzowanej prasy“ najznakomitsi pisarze naszej literatury znajdują się na cmentarzach.

Od lat kilku *Prawda* wykazuje błędy w gospodarce Towarzystwa ogrodniczego. Mimo to ani jedno pismo nie uwzględniło naszej krytyki, przeciwnie wszystkie po każdem zebraniu miesięcznem puszczały w ruch fontanny pochwał. Nareszcie przychodzi p. E. Majewskiemu myśl wystąpienia z ostrą naganą dla Towarzystwa w *Kuryerze Warszawskim* — i natychmiast wszystkie dzienniki wskakują za nim na krzywą wierzbę. Dodać przytem należy, że p. M. obok zarzutów słusznych, postawił dużo niesłusznych (np. przeciw wystawom i ich głównym uczestnikom), nadewszystko zaś wiedzieć trzeba, że reporterzy. którzy rej wodzą w Towarzystwie, w ostatnich czasach zagniewali się na nie. Czyli: popóki jakiś niecechowy organ krytykuje instytucyę społeczną bezstronnie, dopóty cała prasa o tem milczy. a nawet osłabia jego uwagi swoimi zachwytami; dopiero kiedy reporterzy odnowią tej instytucyi swych względów. kiedy ktoś głos zabierze w piśmie cechowem. wtedy cały chór odzywa się ze swym akompaniamentem. A jak powiedziano, nazywa się to w Warszawie: „solidarnością prasy w sprawach społecznych“ i „uwzględnianiem poważnych opinij.“

Zważywszy to wszystko, sądzę. że szkoda trudu na zagniatanie ciasta z piasku, który rozsypuje się natychmiast po wyparowaniu zeń wody. Jeżeli pisma warszawskie zdobędą się na ten wysiłek, że nie będą wzajem przeszkadzały sobie czynić dobrze, będzie to już najwyższe bohaterstwo, do jakiego prasa nasza w obecnym swym składzie jest zdolną. Innemi słowy: nie marzmy o tem, ażeby Paweł bronił Gawła, obsiewającego pole, na którego Jan kamieniami rzuca, i bądźmy zadowoleni. gdy Paweł nie będzie pomagał Janowi w ciskaniu kamieni na Gawła, lecz będzie przypatrywał się tej napaści obojętnie, no i z uśmiechem.

Poseł Prawdy

LITERATURA I SZTUKA.

RZECZYWISTOŚĆ I POEZYA W LITERATURZE.

Goethe, zapytany niegdyś o właściwe znaczenie „Fausta,“ odrzekł: „Czekam, żeby krytyka mi je wyjaśniła.“ Słowa te były niedawno powtórzone przez d'Annunzia w podobnym wypadku, z powodu „Vergine delle rocce.“ U Annunzia było to kokieteryą, ale u Goethego mogło być prawdą. Geniusz nie rozumie zwykle doniosłości swych tworów i źródeł, z których one płyną. On pracuje, jak przyroda: mniej więcej nieświadomie powołuje do życia nowe formy bytu. On jest przedstawicielem wyższego gatunku, który rozszerza pojęcie świata. Tak człowiek ma widnokręgi większe, niż małpa, małpa — niż lew. Rzeczywistość sama w sobie jest wielkiem jakiemś X, o którem nic nie wiemy, o którem nie wiemy nawet, czy takiem istnieje *). Jedno tylko nie ulega wątpliwości, iż świat jest zjawiskiem psychologicznem. Gdy zjawisko to występuje w pewnej ilości istot w sposób mniej więcej jednakowy—a pożycie zbiorowe ma właśnie dążność do wywarcia na nas wszystkich śladów jednakowych, jarzmo społeczne pozostawia na wszystkich duszach też same blizny i odciski — wówczas możemy jedni drugich rozumieć i sprawdzać. Objawy czysto subjektywne, zachodzące w naszych duchach. dążą wówczas do objektywizacyi i materyalizacyi w formie „świata rzeczywistego.“

„Czem jest rzeczywistość?“ — zapytuje Taine i odpowiada: „Halucynacyą, która się sprawdza“ — dodajmy, iż ona się najlepiej i najłatwiej sprawdza dla zwierząt pewnego gatunku, żyjących społecznie. „Świat“ w tem znaczeniu jest wytworem społecznym, ale jednocześnie osobistym. Jest to halucynacya, która się wciąż rozszerzała i potężniała, począwszy od stworzeń najniższych i kończąc na człowieku. Już monera wytwarza sobie pewne niejasne poczucie świata, który nie przekracza promienia jej wrażliwości. Każdy nowy gatunek, a raczej pierwszy jego przedstawiciel, rozszerzał i pogłębiał to pojęcie, oddając swym następcom wraz z mózgiem te zdobycze duchowe. W ten sposób „świat,“ który niegdyś był tylko iskierką, rzucającą bojaźliwe promyki w obrębie jednego ciała. stał się nareszcie tem wspaniałem zarzewiem wrażeń, uczuć i myśli, które błyszczy płomieniami piękna i wiedzy. Ale i człowiek czuje, że istnieje granica dla jego świadomości. Czyż ta mgła, która unosi się na krańcach jego poznania, może być rozwiana. Czemuż nie? Wiemy tylko, że z naszym obecnym mózgiem i naszymi zmysłami mgły tej przeniknąć nie zdołamy, ale jest rzeczą niewątpliwą, iż postęp biologiczny pozwoli, jeżeli nie zerwać. to odsunąć w dal tajemniczą zasłonę. Jak postępuje przyroda. tworząc nowy gatunek? Wystawia nie odrazu całą gromadę, lecz jednostkę, która mogłaby stworzyć gatunek wyższy. W ludzkości, dzięki formom społecznym, tłum istniejący nie ustępuje przed wyższym i geniusz wciela swą osobowość nie w nowych istotach, lecz w nowych myślach i uczuciach, w nowych dziedzinach wiedzy i piękna. W ten sposób pojęcie świata wciąż się rozszerza i pogłębia. Poezya — twórczość — w najobszerniejszem znaczeniu tego słowa na tem właśnie polega. Teraz możemy dać określenie „rzeczywistości“ i „poezyi.“

Pewna suma stanów duchowych, obejmujących wszystkich przedstawicieli danego gatunku w sposób jednakowy, objektywizuje się zwykle, jako świat istniejący, jako rzeczywistość.

Natomiast poezya jest stanem duchowym wyłącznym, wytworzonym przez jednostkę gatunku wyższego, stanem, który jednak z czasem obejmie, drogą hypnotyzmu, wszystkich, wejdzie w skład ich duszy. Jeżeli geniusz wyraża w swych dziełach siebie, swoje „ja,“ to wyraża także „rzeczywistość,“ tylko nie dzisiejszą, lecz tę, która jutro zapanuje. I dusza każdego z nas jest prawdziwym wytworem. Jak geologia zajmuje się historyą pokładów, które utworzyły korę ziemską, tak psychologia zajmie się kiedyś historyą formacyi duszy ludzkiej. Wyjmijcie np. z duszy współczesnej pokład, odpowiadający „Hamletowi“ lub „Faustowi,“ a ona całkiem się zmieni. Dlatego, między innemi, człowiek średniowieczny różnił się od nowożytnego. Kolumb odkrył ląd nieznany w świecie fizycznym, inni geniusze odkrywają nowe dziedziny w świecie ducha.

Trzymając się specyalnie literatury, powiemy, iż poezya różni się od rzeczywistości obecnością czynnika osobowego. Możemy więc ocenić, jak niedorzecznem jest żądanie naszych czasów, aby literatura wyrażała tylko to, co jest, tylko świat rzeczywisty, z pominięciem wszelkich osobistych fantazyj i „halucynacyj.“ Jak gdyby „rzeczywistość“ nie była halucynacyą!

Historya literatury pokazuje nam, iż żądanie powyższe realizmu występuje zwykle w określonych chwilach. W epokach zwartości i przewagi tłumów, gdy pod naciskiem dobrze rozwiniętych form społecznych jednostki wyższe są wytępiane i zagłuszane, literatura i sztuka odbijać będą tylko pojęcia i uczucia, a raczej usystematyzowane halucynacye tłumu istniejącego, które przyjęto nazywać „rzeczywistością.“

Im doskonalej rozwinięte są formy społeczne, tem gorszy materyał ludzki może się w nich rozwijać, tępiąc wyższe antropologiczne okazy, tem pojęcie rzeczywistości, którą literatura odbija, będzie mizerniejsze. Forma utworów staje się codzienną i banalną, ideałem będzie „pisać tak, jak się mówi,“ treścią nie odbiega ona ani na krok od tego, co istnieje, a ponieważ to, co istnieje, jest coraz gorszego gatunku, więc i literatura dochodzi do poziomu sztuki, jaki znajdujemy w muzeach figur woskowych. Ten ideał całkiem urzeczywistniony został w naszych czasach przez naturalizm Zoli.

Natomiast gdy jednostka lub szereg jednostek wyższego gatunku może się przebić przez luźne lub skrystalizowane formy społeczne, oddalać się będą od „rzeczywistości“ istniejącej i tworzyć nową, jutrzejszą. Ta literatura różni się od poprzedniej formą mniej więcej wyszukaną, opisem uczuć i sytuacyj, które nie są powszedniemi, wogóle obecnością czynnika osobowego. Ta literatura dawać nam będzie wizyę osobistą świata jednostki wyższej, nie zaś bezbarwną i gminną—tłumu. Czynnik indywidualny w formie i treści— który możnaby jeszcze nazwać czynnikiem ideału — stanowi istotę poezyi.

Jeżeli epoki przewagi tłumu i daleko posuniętego rozwoju społecznego (nasze czasy!) są zwykle okresami realizmu i naturalizmu, to epoki zupełnej dysocyacyi (czasy romantyki!), pozwalające wystąpić na scenę jednostkom wyższym, wyrażają zwykle indywidualizm i idealizm niepowstrzymany. Są nareszcie okresy przejściowe w literaturze, kiedy poezya łączy się z rzeczywistością — np. realizm słowiański — ale stan ten odbija tylko prawdę, iż w społeczeństwie istnieją obok siebie różne typy antropologiczne, wyższe i niższe i że dana równowaga społeczna pozwala im chwilowo współistnieć obok siebie.

Z powyższego widzimy, iż wada naturalizmu Zoli polega nie na tem, iż on przedstawia brzydotę i ohydę — sztuka przed niczem cofać się nie powinna! — ale że przedstawia ją z punktu widzenia najniższego motłochu psychicznego, najmarniejszej i najpospolitszej trzody ludzkiej. Niechaj nikt się nie mami, iż wyraża ona „rzeczywistość“: mamy zawsze do czynienia z jakąś wizyą świata, chodzi tylko o to, czy ona będzie gminną, czy też osobistą. Jedynie ta ostatnia jest poezyą i dlatego powieść współczesna już prawie do literatury nie należy — raczej do przemysłu. W rezultacie widzimy, iż kwestya kierunków artystycznych i literackich jest sprawą antropologii i socyologii. Realizm i idealizm jest ni mniej ni więcej tylko kwestyą walki różnych typów rasowych, a raczej tłumu i jednostki, walki, która wypada na korzyść jednego lub

*) Kwestya ta, jako należąca do metafizyki, nas nie zajmuje.

drugiego w zależności od zmiany form społecznych.

W naszem przedstawieniu rzeczy czynnik ideału utożsamia się z czynnikiem indywidualnym. Istotnie, dążność natury do wydania wyższego gatunku, która się odbija w nas przeczuciem jakichś nowych horyzontów, rozszerzających się bez końca, jest podstawą biologiczną ideału. Jest to jedyna ścieżka realna, którą związani jesteśmy z przyszłością, gdy wszystkie inne troski przykuwają nas do chwili obecnej. Rozumie się, dążność ta jest siłą czysto żywiołową, którą nacisk form społecznych coraz bardziej subtylizuje i maskuje, tak iż w końcu pod napływem sztucznych pozorów trudno odszukać tę istotę rzeczy. Właściwie mówiąc, poczucie ideału istnieje niezależnie od społeczeństwa, w naturze samej, w jej dążności do wydania gatunków coraz wyższych, coraz wszechstronniejszych.

Społeczeństwo przetrwa tę siłę naturalną odpowiednio do potrzeb własnego swego rozwoju — na religię, moralność, sztukę — zwyradnia ją i czyni z niej coś wprost odwrotnego, drogą specyalizacyi. Ono powstrzymuje postęp biologiczny.

Dla przykładu przytoczymy kilka danych: gdy czaszka Paryżanina XIX w. ma objętość 1,559 c. k., była ona daleko większą u człowieka pierwotnego: 1,606 (Homme-Mok), 1,710 (Chancelade), 1,925 (La Truchere)[1]).

Człowiek pierwotny stał pod względem biologicznym i pod względem wszechstronności wyżej od nas. Jest więc rzeczą naturalną, iż nasze poczucie ideału może się skierowywać nietylko w przyszłość, ale i w przeszłość. Ideał nie spadał z nieba. On ma grunt nader realny. Ta to zupełność i wszechstronność, niegdyś faktyczna, a potem zewsząd gnieciona, głucho odzywa się jeszcze w naszych instynktach. My, niby przez sen przypominamy sobie jakąś rozkoszniejszą, piękniejszą młodość. Dziedziczność jest zasadniczym warunkiem wiedzy. W instynktach, w głuchych dążeniach, w ideałach mamy pamięć niejasną istnienia odległych naszych przodków. Jest to ślad tej możliwości bytu, w którą ludzkość niegdyś wstąpiła i którą dzięki warunkom rozwoju społecznego następnie porzucić była zmuszona. W ideałach mamy wszystko, co w naszej duszy jest i co nie godzi się z rzeczywistością. Gdyby człowiek był tylko wytworem społeczeństwa, bylibyśmy istotami szczęśliwemi i zadowolonemi. Dusze nasze byłyby tylko przystosowaniem i odbiciem istniejącego bytu — nie byłoby w nas cierpień, ani starć wewnętrznych. Ale każdy z nas jest skróconą historyą całej ludzkości, teatrem zasadniczych jej walk. Jak w Rzymie pod nowożytną chrześciańską cywilizacyą kryją się wspaniałe ruiny klasycznej, pogańskiej, tak w duszy naszej potrzeby rozwoju społecznego ścierają się z daleko głębszemi, odwiecznemi dążeniami ku doskonałości i wszechstronności osobniczej. Ta ostatnia tendencya jest źródłem poezyi, tamto — rzeczywistości.

Dlatego mylną jest nadzieja, iż wiedza kiedykolwiek zastąpi poezyę. Poezya nie jest rozrywką, ani retoryką — ona płynie z tych samych źródeł, co i życie samo. Póki natura dążyć będzie do wytworzenia gatunków wyższych, a społeczeństwo stawać będzie temu na przeszkodzie hodowlą staranną istniejących, sprzeczność między poezyą i rzeczywistością musi istnieć. Otóż wiedza, przynajmniej jak ją obecnie pojmują, jest poznaniem rzeczywistości. Gdyby świat istniejący był dokładnie zbadany przez istniejące społeczeństwo, nie wyczerpałoby ono jeszcze źródeł poezyi, gdyż możliwe jest pojawienie się nowego, wyższego gatunku, który otworzyłby nowe horyzonty rzeczywistości. Wiedza podąża tylko za poezyą, która i w nauce istnieje w postaci genialnych hipotez. Zupełne poznanie świata tylko wówczas uczyniłoby poezyę zbyteczną, gdyby ludzkość pod naciskiem form społecznych straciła w instynktach pamięć niejasną swej wielkiej, legendowej przeszłości i gdyby zarazem pod tymże naciskiem stała się niezdolną do wydania gatunku wyższego. Jest to rzeczą możliwą. Antropologia nietylko nie stwierdza postępu biologicznego w obecnej ludzkości, ale, i owszem, twierdzi, iż ona się cofa. W ogłoszeniach *Graphic*'u widzieć można eleganckiego pana w cylindrze, fraku i lakierkach, o manierach nader dystyngowanych, lecz wpatrzywszy się w jego twarz, dostrzegamy, iż jest to małpa — monkey. W tym właśnie kierunku podąża ludzkość: być może, że, gdy dzięki geniuszom, coraz bardziej wytępianym, pozna nareszcie rzeczywistość, sama powróci do typu jakichś nader ogładzonych kretynów[1]). Wówczas poezya stanie się zbyteczną.

Dr. L. W

Włodzimierz Korolenko.

Pomiędzy współczesnymi beletrystami rosyjskimi najwybitniejszym i najpopularniejszym jest Korolenko. Krytycy rosyjscy z rozmaitych obozów jednogłośnie przyznają jego utworom wysoką wartość; ze strony publiczności spotyka je jeszcze większe uznanie, potęgujące się z każdą nową pracą, oczekiwaną przez wielu wielbicieli z prawdziwą niecierpliwością. Zbiór nowel Korolenki w ciągu niecałych lat dziesięciu wytrzymał siedem wydań; jest to dowodem ogromnej poczytności. Prócz tych wydań, przeznaczonych dla czytelników zamożniejszych, część jego obrazków w postaci książeczek kilkokopiejkowych wciska się w warstwy o niższym poziomie umysłowym — „od piwnic aż do poddaszy," budząc takiż zachwyt, takież zajęcie. Niemcy znają Korolenkę z taniej a rozpowszechnionej biblioteczki międzynarodowej Reklama. W piśmiennictwie polskiem przekłady z niego są nieliczne i mało znane.

Korolenko posiada olbrzymi talent powieściopisarski. Głęboka znajomość życia i duszy ludzkiej, nader trafna obserwacya i zdolność fotograficznie wiernego odtwarzania rzeczywistości — są głównemi cechami jego twórczości. Czy zapoznaje czytelnika z cierpieniami niewidomego, czy przenosi go do tajgi syberyjskiej, jurty jakuckiej lub wioski ukraińskiej, czy rzuca na bruk Londynu albo Nowego-Yorku, czy wkrada się do duszy nieszczęśliwego więźnia-sektanta, czy zaczyna mówić o Sokratesie — czytelnik zawsze ma pewność, że to wszystko jest rzeczywiste, wolne od cienia fałszu. Przy takiej dokładności swoich obrazków nie jest jednak naturalistą. Utwory jego nie są ścisłą, przedmiotową analizą zjawisk życiowych, pozostawiającą inteligencyi i wyobraźni czytelnika wytworzenie pewnego całokształtu z mnóstwa poszczególnych rysów. Korolenko podkreśla tylko to, co mu się wydaje najważniejszem, charakterystycznem w danem zjawisku, zupełnie usuwając szczegóły drugorzędne, które uważałby za balast. Nie zadawala się on rolą protokólisty. Po przeczytaniu powieści np. Zoli pozostaje znajomość pewnej wiązanki faktów życiowych; myśl czytelnika przerabia je zupełnie samodzielnie, przychodząc oczywiście do różnych wniosków zależnie od wrażliwości i stopnia rozwoju umysłowego. Czytelnik pod tym względem poniekąd panuje nad powieścią. Co innego, kiedy się czyta Korolenkę. Tu czytelnik zaczyna tracić władzę nad sobą. Artyzm zatrzymuje go dłużej przy tem, co samo przez się mogłoby ujść jego uwagi, porusza w nim te same struny, które drgają w autorze, unosi go z sobą w świat cierpień i radości bohaterów, każe boleć ich bolem i cieszyć się ich weselem. Kiedy Korolenko ustami starego leśnika przypomina dzieje okrutnego bezprawia i zasłużonej zemsty z czasów pańszczyznianych („Las szumi"), to wyobraźnia czytelnika przechodzi razem z opowiadającym przez te wszystkie momenty uczucia—przez bezsilne oburzenie, walkę namiętnego protestu ze zrutynowanem sumieniem i wreszcie gwałtowną potrzebę odwetu. Gdy Sokrates („Cienie") przeciwstawia dzikiemu gniewowi Olimpijczyków swoją skromną, lecz niezgiętą wiarę w potęgę rozumu ludzkiego, czytelnik nie może uwolnić się od wrażenia radości, entuzyastycznego podniecenia na myśl o tym tryumfie wiedzy nad obłudą i przesądem. Gdy się czyta historyę niedoli i przymusowego męczeństwa paryasów nowożytnych („Sen Makara"), to się czuje, że coś ściska gardło, że pierś rozsadza oburzenie na okrucieństwa losu.

Posiadając taki potężny oręż, Korolenko ma ogromną władzę nad czytelnikami. Jego talent oddziaływa na uczucie i zawsze zwycięzko. Wszystko, co oburza, smuci albo rozwesela autora, budzi te same uczucia i w czytelniku. Różnice mogą być tylko ilościowe, jakość wrażenia pozostaje ta sama. Jeżeli powieść może mieć znaczenie wychowawcze, to ten rodzaj twórczości najbardziej odpowiada jej zadaniu. Letournau przepowiada świetną przyszłość literaturze pięknej: zamiast drobiazgowego egotyzmu, erotomanii i chełpliwej obojętności moralnej — estetyka przyszłych społeczeństw, jego zdaniem, będzie się zasadzała na gorącej sympatyi społecznej i żądzy wiedzy, rozniecając uczucia altruizmu i demokratyzując podstawowe idee filozofii naukowej (*Evolution littéraire*). Jeżeli w przyszłości poezya będzie czerpała natchnienie ze źródła solidarności wszechludzkiej, to współczesna beletrystyka ma przed sobą zaszczytne ale trudne zadanie — wyrabiania tych uczuć altruistycznych, które się staną podścieliskiem psychologicznem nowego okresu w rozwoju gromad ludzkich. Literatura sama przez się nie dokona tego przewrotu w psychice ludzkości. Rozpustnik, oszust, wyzyskiwacz, nie zmienią trybu życia pod wpływem paru chociażby najgenialniej napisanych powieści. Istnieje jednak mnóstwo ludzi, w których warunki życiowe wyrabiają wrażliwość na cudze krzywdy i bole, którzy zlewają się w swojem cierpieniu z innymi. Iskra altruizmu, tlejąca w tych ludziach, rozpala się przy każdem zetknięciu z przejawami przemocy i fałszu. Spostrzeżenia życiowe mogą tu mieć wielkie znaczenie, które jednak ogromnie się potęguje przez poznanie coraz liczniejszych zjawisk niedoli społecznej. Powieściopisarz - psycholog i sumienny obserwator może wskazać te strony życia, którychby nie zauważył albo nie ocenił sam czytelnik — i pod tym względem sztuka stoi nieraz wyżej od życia. Z drugiej strony może ona wywołać tylko pewne podrażnienie moralne; w jaki sposób będzie oddziaływała na nie myśl, jak się to podrażnienie odbije w czynach — to warunkują inne okoliczności.

Korolenko wyśmienicie posługuje się zdolnością budzenia strun altruistycznych. Gdyby taki talent skierował się wyłącznie na odtwarzanie piękna natury, albo procesów psychicznych najrozmaitszych kategoryj „nadludzi," dostarczałby subtelnych rozkoszy estetycznych, ale nie nie miałby żadnego znaczenia społeczne-

[1]) Lapouge, *Selection sociales*.

[1]) Np. do typu „Acrogonus" Lapogue'a.

go. Bardzo wielu pisarzów dziś hołduje zasadzie „sztuka dla sztuki“; wbrew temu, co mówi Letourneau, można przypuszczać, że hasło to nie zniknie i w przyszłości. Im lepszymi będą warunki życia ludzkiego, tem więcej będą oni mieli czasu i usposobienia do rozrywek wyłącznie artystycznych. Dziś jednak, kiedy niedomagania społeczne przybierają tak bolesne formy, piękno, jako środek do podniesienia sumy dobra społecznego, stoi daleko wyżej, niż piękno, obojętne na zagadnienia chwili. Utwory Korolenki są przedewszystkiem arcydziełami sztuki, bo artyzm jest niezbędnym warunkiem beletrystyki; ale w każdym z nich tkwi jednocześnie pewna myśl przewodnia, głęboko odczuta i ściśle przeprowadzona. Jest to tendencya — wszakże nie w fałszywem znaczeniu mniej lub więcej dogmatycznego wykładu pewnych, wyznawanych przez autora tez etycznych, lecz w znaczeniu zatrzymywania uwagi czytelnika na pewnych zjawiskach i zmuszania go do rozstrzygnięcia pewnych zagadnień życiowych. Korolenko nie napisał żadnej dłuższej powieści; jego utwory są nowelami, przypominającemi trochę pod względem formy poważniejsze obrazki Prusa. Umiejętność zainteresowania czytelnika bez uciekania się do rozwlekłych opisów, chwytanie w lot wypadków i charakterów, nasuwanie tematów do obmyślenia tez dydaktycznych i sentymentalnych zwrotów — są wspólnemi cechami wielu utworów Prusa i wszystkich nowel Korolenki. O estetycznej wartości szkiców tego ostatniego można sobie wytworzyć pewien sąd dopiero wówczas, gdy się przeczytało wszystkie jego dzieła; społeczne znaczenie tego beletrysty poniekąd może być wyjaśnionem przez rozpatrzenie kilku szkiców. Pomimo niezwykłej rozmaitości tematów, które Korolenko czerpie z życia więźniów w Syberyi i na Sachalinie, Żydów ukraińskich, emigrantów do Ameryki, pątników, kilkoletnich dzieci, nędzarzy, urzędników — zawsze daje się czuć, że obrazki wychodzą z pod ręki jednego mistrza, że wszystkie je natchnęła jedna myśl.

Najpiękniejszemi jego utworami są: „Ślepy muzykant,“ „Cienie“ i „Sen Makara.“

„Ślepego muzykanta“ autor nazwał studyum psychologicznem. Jest to zupełnie słuszne, ponieważ opracowanie tej powieści wymagało poważnego przygotowania się naukowego i bliższej znajomości z psychologią. Powieść jednak ani na chwilę nie razi suchością traktatu naukowego. „Ślepym muzykantem“ jest Piotruś, syn obywatela ukraińskiego. Urodził się niewidomym, ale uposażonym w niezwykłą wrażliwość i zdolności. Matka i wuj starannie się zajęli wychowaniem dziecka, spragnionego wszelkich wiadomości o świecie zewnętrznym: wzrok zastąpiły mu inne zmysły. Najobfitszem źródłem wrażeń dla ślepego były dźwięki, którym żądnie się przysłuchiwał, kiedy stał nad brzegiem strumyka, kiedy wychodził na step, kiedy upajał się rzewnemi tonami fujarki Ostapa, a później muzyką matki i wreszcie, kiedy sam nauczył się grać na fortepianie i wydobywał z klawiszów to, czego nie mógł poznać oczyma. Cierpienia jego nie byłyby tak znaczne, gdyby nie odziedziczył po rodzicach potrzeby wrażeń wzrokowych. Potrzeba ta z wiekiem stawała się coraz silniejszą, niezaspakajana — przeszła w ciągłe niezadowolenie, żal do życia, aż doszła do kulminacyjnego punktu, jako gwałtowna, wszechwładnie wypełniająca jego serce żądza zobaczenia ukochanej kobiety. Piotr wpadł w beznadziejny pesymizm. Wobec potężnego uczucia, wszelkie rozumowania traciły dla niego znaczenie. Wuj postanowił użyć radykalnego środka leczniczego. Udał się w święto z siostrzeńcem na odpust. Wśród modlitw i próśb żebraków, tłoczących się dokoła pobożnych, wrażliwe ucho Piotra zatrzymało się na chóralnym, drżącym jęku ślepych, zziębłych i głodnych, rozpaczliwie wołających o litość do przechodniów: „Podajte ślipeńkim, Chrysta rady!.“ W umyśle Piotra natychmiast powstał ten krzyczący kontrast pomiędzy jego cierpieniem, złagodzonem pewnością jutra, wygodami życiowemi i ciągłem otoczeniem osób kochających i kochanych, a nieszczęściem tych ludzi, tak samo ślepych, jak i on, ale pozbawionych chleba i odzieży, rodziny i dachu. Wrażliwa jego natura nie mogła obojętnie ominąć takiej sprzeczności. Przechorował spotkanie się ze ślepymi nędzarzami, ale podniósł się z łóżka już zupełnie inny. „Zbyt ostra i egoistyczna świadomość osobistego cierpienia, która wprowadzała do duszy bierność i tłumiła wrodzoną energię, obecnie została wstrząśniętą i ustąpiła przed świadomością cudzego cierpienia. Świadomość ta uzdrawiała chorą duszę, budząc energię i myśl, zmuszając do wyszukiwania ujścia współczuciu... Myślał o innych, stawiał sobie zadania, tworzył projekty; rodziło się w nim życie, nadłamana dusza wypuszczała pędy, jak wątła roślina pod ożywczem tchnieniem wiosny...“

(D. n.).

W. Siekierski.

LITERATURA POLSKA.

Wiktor Gomulicki, *Obrazki Weneckie*. Wincenty Kosiakiewicz, *Plama* (z pamiętników wynalazcy). Józefat Nowiński, *Świekra* i inne nowele. Aniela Milewska, *Studentka*.

Ujrzawszy się nad Adryatykiem, na łonie królowej morza, autor „Obrazków weneckich“ uczynił ślub uroczysty, że będzie patrzał na to tylko, czego inni dotąd nie oglądali. „Nie byłbym zdolny — powiada — zakochać się w kobiecie, której urodę cały świat zna i podziwia; piękności, które milion piór opisało, milion pędzli przeniosło na płótno, milion spojrzeń *bezmyślnych* (?) sprofanowało — nader słabo ciągną *mnie*... do siebie.“ Skrępowany w ten sposób niepotrzebnie zobowiązaniem wątpliwego pod względem estetycznym znaczenia, turysta zacieśnił swe uwagi i rozmyślania w obrębie widoków, których nie poskąpiłyby mu z pewnością nasze własne bazyliki, zaułki, cmentarze i podziemia. Po co np, jechać na wyspę San-Michele, gdzie spoczywa Wenecya wieku XIX-o, skoro i na warszawskiem Bródnie — i może stosowniej byłoby westchnąć: „I tu są kobiety młode, kochające, kochane, ze spojrzeniem pełnem czułości, z sercem do poświęceń gotowem; i tu są dzieci od wszystkich ponęt życia milsze — ale jedne i drugie śpią cicho, z rękoma na piersiach skrzyżowanemi jak *moje* — i ku niebu twarze obróciły — jak *moje* — i nigdy się już nie przebudzą — jak *moje*.“ Stylowych takich zwrotów ku sobie i swoim jest kilka; stanowią one największy powab szkiców, pisanych na obczyźnie bez widocznego celu i powodu, gdzieniegdzie nie pozbawionych uroszczeń i przesady. „W jednem miejscu cmentarza pod naporem fal szaniec pękł... Przez szczelinę widać bielejące nagrobki. Nie wiem dlaczego wyobrażam sobie, że szczeliną tą wymykają się umarli, gdy im *przyjdzie ochota* żywych odwiedzić.“ Komuś, co się wybierał do Włoch, Bolesław Prus dać miał radę następującą: „Przedewszystkiem, kochany panie, staraj się zbadać, jak chłopi *włoscy* mieszkają i czem się karmią...“ Było to prawdopodobnie w czasach, kiedy Prus komponował swoją „Placówkę.“ Gomulicki przypomniał sobie tę radę, ale zanim przystąpił do opisu spożywanej przez robotnika ryby, opatrzył obrazek wstępem wydętym, jak żagiel na okręcie Kolumba. „Ja na rozkoszy estetycznej nie poprzestaję. Nie byłbym dziecięciem swego wieku, gdyby, po artyście, nie obudził się we mnie krytyk... Estetyka nie zaspakaja mnie: sięgnąłbym chętnie do fizyologii.“ Ze spostrzeżeń ulotnych miłe wrażenie wywierają: modły po kościołach weneckich, scharakteryzowane według znanego przysłowia: „polskie mosty i włoskie nabożeństwo — istne to.... szaleństwo.“

Kosiakiewicza „Plama“ jest zagadnieniem psychologiczno-kryminalnem, uscenizowanem dramatycznie. Pisze pamiętnik człowiek ubogiego pochodzenia, trapiony od młodości samopoczuciem, że jest powołany do wielkich rzeczy; ponieważ zaś ma zdolność do matematyki, więc owa rzecz wielka wyrazić się ma w jakimś wynalazku dobroczynnym. Pewna nierównowaga między dążnością umysłu, zaprzątniętego zadaniem doniosłem choć dalekiem, a nędzą i upośledzeniem sytuacyi bieżącej sprawia, że przyszły wynalazca, pod wpływem tej rozterki, tego rozejścia się pragnień z życiem, działa jak halucynant i popełnia czyn, zakwalifikowany w kodeksie napoleońskim do rzędu karygodnych, należących do sądu policyi poprawczej. Uchodzi to mu na razie płazem, dzięki wspaniałomyślności kolegów. Delinkwent opuszcza dotychczasowe swe środowisko, staje się po kilku latach jednostką moralną, pożyteczną, chlubę swojemu społeczeństwu przynoszącą—i wtedy właśnie spada na niego z ust osobistości marnej i nikczemnej, wyrok hańby za grzech dawny, przebaczony, zapomniany. Wszystko to uwydatnione zostało w sposób wyższy. Ale p. Kosiakiewicz za głośno w swoim czasie pochwalił „Fachowca“ Berenta za takąż samą dodatkową sztuczkę, krzykliwie przyśpieszającą naturalny rozwój akcyi, i oto obecnie zajęła jego samego pokusa powtórzenia próby na inny cokolwiek ład... Efekt się zdwoił, to prawda, ale ze skrzywionym sensem moralnym. Bo czyliż trzeba być koniecznie dobroczyńcą ludzkości, starać się o wymyślenie prochu, aby mieć prawo do odzyskania u współbraci pełni szacunku, nadwątlonego za młodu, w przystępie niepoczytalności?

Pięć nowel Józefata Nowińskiego, pisarza poczynającego („Świekra,“ „Wróbel,“ „Przeszłość,“ „Podwójne bogactwo,“ „Współlokator“), zapowiadają majstra, który wie co robi i dokąd dąży — to jest kierującego się refleksyą i obrabiającego swój przedmiot według świadomie powziętych model estetycznych. Zdaje się jednak, że modły te nie są w nim jeszcze ostatecznie urównoważone i scalone, że się autor waha w wyborze, że szuka twardszej, bezpieczniejszej drogi. O natchnieniu, uczuciu, ogrzaniu duchem własnym istot i zjawisk powoływanych do bytu, nie może być mowy wobec pisarza, który najwyraźniej zdradza się z niewiarą i nieufnością do „takich rzeczy.“ Dobry i mocny realista we „Świekrze“ i „Wróblu,“ ogląda się w „Przeszłości“ i we „Współlokatorze“ poza siebie, jak gdyby zapytywał: czy nic już dla nas nie pozostało z cudów romantyki dawnej? Nie możemy mu na to odpowiedzieć, gdyż owa mieszanina rodzajowa nadaje tomikowi urozmaicenie, jakby umyślnie i zgóry zapobiegające psotom najzłośliwszego z wrogów autorstwa, znużenia.

„Studentce“ Anieli Milewskiej należy się wzmianka, ocieniona wspomnieniem pośmiertnem. Odbitka nadeszła do redakcyi wraz z wiadomością o zgonie autorki. Jest to drobiazg uczciwie tendencyjny, tej samej barwy, co i wydana nieco pierwej powiastka „Nasze Panny.“ Tu i tam chodzi o wynalezienie leku na chorobę

emancypacyi. Lekiem w „Naszych Pannach“ było roztropne i rozsądne zamążpójście; w „Studentce“ jest rezygnacya staropanieństwa, uszlachetnionego pracą gospodarczą i opieką nad młodszą bracią. Intencye niezaprzeczenie szlachetne; żałować tylko trzeba, że język... — a raczej korekta okropnie zaniedbana. „Dziennik,“ w którym ś. p. Milewska prace swe zamieszczała, wspaniałomyślniejby sobie postąpił, gdyby się mniej obarczał programatologią wszechdziejową, a natomiast pilniej unikał zboczeń drukarskich i gramatycznych. A i papier w Poznańskiem powinienby nareszcie zerwać z tradycyami epoki Staszica i Woronicza.

Hodi.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

WYDAWNICTWA ZESZYTOWE. *Dziejów powszechnych ilustrowanych* wyszły zeszyty 104—123.

— *Samouczka francusko-polskiego* P. Reussnera zeszyt 4.

— Tegoż autora wyszedł *Samouczek* języka niemieckiego (wydanie nowe).

BELETRYSTYKA. W. Z. przełożył zbiorek zdań E. Isolaniego p. t. „Kiedy kobieta starzeje (się)?“

— S. Kozłowski: *Esterka*, dramat historyczny wierszem (162 str.).

PRASA. S. Dickstein otrzymał pozwolenie na wydawanie w Warszawie pisma peryodycznego p. t. *Wiadomości matematyczne.*

SPRAWY EKONOMICZNE.

ROZWÓJ EKONOMICZNY W NIEMCZECH.

II.

Pierwszym faktem znamiennym i rzucającym się w oczy jest postęp przemysłu i handlu z uszczerbkiem rolnictwa. Jeżeli bowiem uwzględnić liczbę osób żyjących z rolnictwa, przemysłu i handlu, tj. zarówno pracowników, jak utrzymywane przez nich rodziny, otrzymuje się następujące zestawienie:

	r. 1895	r. 1882
Ludność rolnicza . . .	41,37%	48,29%
Ludność żyjąca z przemysłu i handlu	58,36%	51,71%

Przytem pamiętać należy, że nie wszystkie dzielnice państwa niemieckiego przechodzą ten przewrót równomiernie. Wielkopolska i Prusy książęce np. zostały bezwątpienia także porwane przez ten proces, ale odbywa on się tam powolniej. Natomiast w Saksonii posunął się tak daleko, że w r. 1882 tylko 20% ludności zaliczono do rolnictwa, w 1895 już tylko 15%.

Optymistyczni zwolennicy manchesteryzmu naturalnie gotowi będą widzieć w tem tylko fakt „normalny i naturalny.“ Rolnik — powiedzą nam — widzi dla siebie lepsze szanse w pracy przemysłowej i do niej się przerzuca, a więc wszystko jest w porządku. Dla głębiej patrzących te kilka cyfr opowiada o tysiącach ciężkich przejść, o ruinie licznych egzystencyj, o walkach toczonych z warunkami. Każdy bowiem, kto zna życie społeczne mas pracujących nietylko z książek, wie doskonale, że przerzucenie się z jednej warstwy ekonomiczno-społecznej do drugiej nie odbywa się tak łatwo, że częstokroć droga z roli do fabryki prowadzi przez wrota głodu i nędzy. Gdyby to przejście od kraju rolniczego do przemysłowego odbywało się w ciągu pokoleń, gdyby dopiero syn rolnika widział „lepsze dla siebie szanse“ w przemyśle i porzucał zajęcie ojców, możnaby jeszcze mówić o „naturalnym rozwoju“; ale jeżeli w ciągu lat trzynastu zachodzi tak daleko sięgająca zmiana, wówczas jest ona katastrofą, kataklizmem społecznym.

Drugim znamiennym objawem jest wzrost procentowy ilości osób zarobkujących oraz zmniejszanie się utrzymywanych z zarobków. W roku bowiem 1882 liczba pierwszych wynosiła 38,99%, członkowie ich rodzin, przez nich utrzymywani, stanowili 55,08%, w roku zaś 1895 liczba zarobkujących wynosiła 40,12%, a liczba osób przez nich utrzymywanych 53,15% [1]). Stąd wniosek, że rodzina o tyle ulega rozkładowi, że dzieci wcześniej zaczynają zarobkować, wcześniej wyzwalają się. Emancypacya zaś kobiet specyalnie wyraża się w cyfrach następujących: czynne w pracy zarobkowej stanowiły w r. 1882 18,46%, w 1895 — 19,97% ogólnej ludności, a więc w ciągu lat trzynastu liczba samodzielnych kobiet wzrosła o 1,51%, czyli o 1,005,305 głów. Dodać jeszcze należy, że liczba kobiet, będących na usługach domowych, zmniejszyła się z 5,56% do 4,99%, czyli o 0,57%. A więc kobieta zostaje w coraz większym stopniu rzuconą w wir walk i przewrotów ekonomicznych. Rozwój ekonomiczny powoduje z żelazną konsekwencyą natężenie wszystkich sił zarobkowych, podkopuje „odwieczny ustrój rodzinny.“

Dzieląc ludność na trzy grupy zawodowe: 1) rolnictwo (z włączeniem leśnictwa, hodowli bydła, rybołówstwa); 2) przemysł (z włączeniem rzemiosła, oraz górnictwa, przedsiębiorstw budowlanych itp.); 3) handel, oraz przeprowadzając w każdej z tych grup podział na: *a*) zarobkujących samodzielnie (a więc właścicieli ziemi, dzierżawców, przemysłowców, rzemieślników, przyczem włączono do tej grupy administratorów, dyrektorów, plenipotentów, wogóle zarządzających przesiębiorstwem samodzielnie); *b*) pomocników (tj. techników, majstrów fabrycznych, buchhalterów itp.); *c*) najmitów (robotników fabrycznych, czeladzi rzemieślniczych, parobków i komorników wiejskich, oraz służbę domową) — otrzymujemy następującą tablicę.

Na 100 zarobkujących przypada:

	a) samodzielnie zarobkujący 1895	1882	*b*) pomocnicy 1895	1882	*c*) najmici 1895	1882
w grupie I	31,07	27,78	1,16	0,81	67,77	71,41
„ II	24,90	34,41	3,18	1,55	71,92	64,04
„ III	36,07	44,67	11,20	9,02	52,73	46,31
w % zarokujących wogóle	28,99	32,29	3,29	1,90	67,72	66,07

Z cyfr tych wynika, że istnieje ogólna dążność do podkopania egzystencyi samodzielnej. W ciągu lat trzynastu liczba samodzielnie zarobkujących zmniejszyła się o 3,04%, a zmniejszenie to byłoby jeszcze większe, gdyby nie włączono do tej grupy zarządzających, co jest w każdym razie nieracyonalne.

Rozpatrując grupy oddzielnie, widzimy, że ten proces odbywa się z wielką szybkością w handlu i przemyśle a ogólna cyfra zostaje zmienioną pod wpływem rolnictwa.

W przemyśle liczba stosunkowa przedsiębiorców samodzielnych zmniejszyła się prawie o 10% i w tymże stosunku wzrosła liczba najmitów wykwalifikowanych i wyrobników prostych. Przytem i tu cyfra ta nie jest jeszcze dostateczną z powodu włączenia znów do liczby samodzielnych przedsiębiorców kierowników płatnych i wobec ogólnej tendencyi do łączenia większych przedsiębiorstw w spółki. W ten bowiem sposób zakład przemysłowy jakiejkolwiek spółki udziałowej figuruje z trzema lub więcej osobami „samodzielnie zarobkującemi.“ O ile więc posunęła się koncentracya przemysłu, można będzie dopiero osądzić po ogłoszeniu cyfr statystyki specyalnej o zakładach przemysłowych (Gewerbezählung), urządzonej wraz ze statystyką zawodową (Berufszählung), z której czerpiemy powyższe dane. Przytem różnica pomiędzy oddzielnemi państwami rzeszy występuje również pod tym względem, gdyż w Saksonii np. zmniejszenie wspomnianej liczby jest większe, prawie 11%.

W każdym razie niezachwianym jest wniosek, że rozwój kapitalistyczny prowadzi do usuwania drobnych przedsiębiorców i powiększa armię najmitów. W prawdzie zwolennicy starych dobrych czasów marzą jeszcze o wskrzeszeniu złotego wieku dla rzemiosł i wysilają się na coraz nowe pomysły, których urzeczywistnienie ma zatrzymać w biegu miażdżące koło. Dawniej śmiano się z tych, którzy przepowiadali to, co nastąpiło. Nie wierzono, że szewctwo może się stać niepopłatne — „bo ludzie butów nosić nie przestaną.“ Dziś zgodzono się z faktem, że liczba majstrów szewckich zmniejszyła się w sposób niebywały, ale powtarza się z uporem godnym lepszej sprawy, że nie mała wydajność pracy rzemieślniczej w porównaniu z wielkim przemysłem jest przyczyną tego zjawiska, lecz niedostateczna opieka państwa nad rzemiosłem, wadliwa organizacya cechów, brak kredytu itd. Powtarza się tu stałe zjawisko: przy łożu chorego lekarz fachowy traci posłuch, miejsce jego zajmuje znachor, a ponieważ w sprawach ekonomiczno-społecznych każdy dyletant, począwszy od ministra, a skończywszy na agitatorze antisemickim, czuje się upoważnionym do wygłaszania swoich zdań, więc na brak trafnych rad umierające rzemiosło nie może się uskarżać. To też właśnie teraz, kiedy statystyka wykazała niezbicie zanik drobnych producentów, w niemieckiej radzie związkowej obraduje się projekt reorganizacyi cechów, którego najważniejszym punktem jest przymus należenia do związku, nałożony na wszystkich rzemieślników. Czy projekt ten zostanie przedstawiony parlamentowi, nie jest jeszcze pewnem; jeżeli jednak to nastąpi, można być prawie przekonanym, że parlament, który przyjął śmieszny zakaz handlu terminowego zbożem i tak zwane prawo przeciw „nierzetelnej konkurencyi,“ przyjmie i ten pomysł, gdyż zacny stan znachorów społecznych jest w nim reprezentowany dostatecznie, wszakże nie ulega wątpliwości, że prawo takie pomoże chorym tyle, co „komarowe sadło“ i „ocet siedmiu złodziei“ pomaga pacyentom zwykłych znachorów. Ludzie bowiem kompetentni, którzy nie szczędzili trudu zbadania rzeczywistych przyczyn upadku rzemiosł [1]), dawno już doszli do wniosku, że jedyną przyczyną tego upadku jest postęp techniczny i ekonomiczny, który powołuje do życia fabryki w tych dziedzinach wytwórczości, w których dotąd panowało rzemiosło, żadne zaś reorganizacye cechu nie są w stanie nadać życia przeżytej i niedołężnej formie produkcyi.

Ten sam proces koncentracyi towarzyszy rozwojowi handlu niemieckiego, o czem świadczy nietylko zmniejszenie się liczby względnej kupców samodzielnych, ale również wzrost pomocników wykwalifikowanych. Tu znów zaznaczyć należy, że proces ten nie występuje dostatecznie ja-

[1]) Sumując liczby 40,12 i 53,15, otrzymujemy 93,75% ludności, resztę stanowią: usługa domowa 2,59% (w r. 1882 — 2,93; to zmniejszenie jest również charakterystyczne: kapitalizm niweczy powoli zwyczaj utrzymywania całego sztabu służby) oraz ludność bez zawodu, ludzie żyjący z „własnych funduszów,“ według żargonu warszawskiego. Liczba tych wzrosła z 3 do 4,14%.

[1]) Należą do nich uczeni, którzy pod wodzą prof. Büchera wydają od r. 1892 „Untersuchungen über die Lage des Handwerks“ (w zbiorze *Schriften des Vereins für Sozialpolitik*).

sno w cyfrach powyższej statystyki, agenci bowiem handlowi, których liczba wzrasta bardzo szybko, a którzy w gruncie rzeczy nie są przecież przedsiębiorcami na własną rękę, [illegible] po większej części oficyalistami, różniącymi się od zwykłych tem tylko, że pobierają nie pensyę stałą, ale prowizyę, zostali znów nieracyonalnie zaliczeni do „samodzielnych."

Charakterystycznym też jest fakt, że zarówno w przemyśle, jak handlu, liczba kobiet, prowadzących przedsiębiorstwa samodzielnie, nie wzrasta, lecz zmniejsza się, szybciej od mężczyzn. Oto cyfry odnośne:

Na 100 zarobkujących przypada:

w grupie	a) samodziel. zarobkując. 1895	a) samodziel. zarobkując. 1882	b) pomocników 1895	b) pomocników 1882	c) najmitów 1895	c) najmitów 1882
II przemysł:						
mężczyzn	22.82	30.77	3.76	1,84	73,42	67,39
kobiet	34,16	51,42	0,61	0,20	65,23	48,33
III handel:						
mężczyzn	36,44	43,31	14.21	10,88	49,35	45,81
kobiet	34,95	50,51	2,07	1,06	62,97	48,43

To znaczy: w przemyśle, zarówno jak w handlu, liczba egzystencyj samodzielnych, w znaczeniu zależności ekonomicznej, daleko szybciej zmniejsza się w szeregach kobiet zarobkujących, a z tą samą szybkością wzrasta liczba względna zależnych, przyczem największy wzrost okazuje dział kobiet-najmitów niekwalifikowanych. Nie ta więc grupa wzrasta, o którą tak dbają „emancypantki," lecz ta, gdzie bodźcem nie jest frazes feministyczny, lecz okrutny bicz nieokiełznanej konkurencyi. Nie można rzeczywiście wymyśleć krwawszej ironii na frazesy „feministek" w spodniach i w spódnicach. Kiedy oni bowiem mają na oku przedewszystkiem kobietę - przedsiębiorcę, a już przynajmniej kobietę-buchhaltera, rzeczywistość redukuje z szaloną szybkością liczbę pierwszych (z 56 na 34%!) i bardzo powoli pozwala wzrastać liczbie drugich. Natomiast liczba najmitów zupełnych, robotnic fabrycznych i wyrobnic w handlu wzrasta o 17% w przemyśle, o 13% w handlu. Kobieta emancypuje się w rodzinie, ale jeszcze daleko prędzej staje się zależną od wielkiego kapitału. Jest to zupełnie naturalne: niewieście „pracownie" wszelkiego rodzaju i kramiki, owe ideały pań feministycznych, są takim samym wstecznym typem ekonomicznym, jak warsztat majstra cechowego, więc ulegają zagładzie z tych samych co on powodów i z większą jeszcze szybkością.

Co do rolnictwa, proces jest niezmiernie zawiły: pozornie odbywa się dekoncentracya, gdyż liczba samodzielnie zarobkujących wzrasta, a najmitów zmniejsza się (patrz tabl. drugą). Jednakże wniosek to przedwczesny. Jakże bowiem wytłómaczyć w takim razie wzrost liczby pomocników wykwalifikowanych (rządców, ekonomów, leśniczych), którzy przecież mogą znaleźć zarobek tylko w wielkiem gospodarstwie. Możliwem więc jest, że odbywa się koncentracya większej własności, a zarazem rozdrobnienie zupełne chłopskiej. Zmniejszenie liczby najmitów przynajmniej silnie przemawia za takim wnioskiem. Zarówno bowiem wielkie, jak małe gospodarstwo rolne, potrzebują stosunkowo mniej najmitów, niż średnie. Pierwsze, ponieważ prowadzi na wielką skalę uprawę zbóż i hodowlę bydła, z zaniedbaniem uprawy sadów i ogrodów, a więc już przez to samo potrzebuje mniej ludzi, których w dodatku zastępuje maszynami; drugie, ponieważ daje zajęcie tylko rodzinie właściciela. Dwa te procesy przeciwne najprawdopodobniej odbywają się w dwóch przeciwległych krańcach państwa: na północo-wschodzie powstają wielkie latifundya, na południowo-zachodzie gospodarstwo karłowate skierowane na produkcyę wina, ogrodowizn, owoców. Wniosek ten ma wielkie pozory prawdopodobieństwa i odpowiada pojedyńczym obserwacyom. Słuszność jego można będzie sprawdzić dopiero po ukazaniu się dalszych danych statystycznych, o których wspomniano.

J. B. M.

W DALI.

Łódź. Przy laboratoryum chemicznem Lipińskiego i S-ki powstaje stacya doświadczalna materyałów budowlanych. Jest to bardzo ważna instytucya, gdyż liche domy z gorączkowym pośpiechem budowane przez spekulantów, grożą nietylko mieniu, lecz i życiu mieszkańców. Owi spekulanci znaleźli się obecnie w krytycznem położeniu. W początkach r. z. każdy z nich, posiadając nawet kapitał niewielki, kupował domy i place; skutkiem tego ceny doszły do nadzwyczajnej wysokości, następnie jednak nagle i niespodziewanie spadły tak nizko, że wielu utraciło zupełnie mienie. Czy będzie to przestrogą dla [illegible]

Kielce. Miejscowa kasa przemysłowców i oszczędności cieszy się wielkiem zaufaniem ogółu. Liczba osób, składających tam swoje pieniądze, dochodzi do 3,000. Jeszcze przed laty kilku książeczek oszczędnościowych było zaledwie 1,000. — Gazeta miejscowa podaje niepomyślne wiadomości o stanie ekonomicznym ludu w pow. Olkuskim. W kancelaryi wójta gminy Rabsztyn naznaczono sprzedaż aż dwudziestu gospodarstw włościańskich za długi, zaciągnięte w gminnej kasie oszczędności.

Wilno. Wkrótce już powstaną nowe w mieście instytucye: Kolonia poprawcza rolniczo-rzemieślnicza centralna, tudzież Towarzystwo przytułków dla przestępców nieletnich. Zabiegi w tej mierze poczyniono jeszcze przed trzynastu laty w magistracie, a prezes Izby sądowej, Stodolski, gorąco poparł tę sprawę odezwą do sądownictwa w gub. Wileńskiej, Kowieńskiej, Grodzieńskiej i Mińskiej; w r. zaś 1896 odbyły się walne narady — jak *Kuryer Codz.* zaznacza — u miejscowego wielkorządcy, który teraz się stara o zatwierdzenie ustawy właściwej za pośrednictwem p. ministra sprawiedliwości. Towarzystwo kolonij poprawczych będzie mogło rozporządzać kapitałem zbiorowym 80 tysięcy rubli, nie rachując 10 dziesięcin gruntu, ofiarowanego przez miasto, tudzież ziemi przyobiecanej przez pełnomocnika dóbr państwa gub. Wileńskiej i Kowieńskiej. — Prezesem Towarzystwa lekarskiego został znany w mieście chirurg, dr. Hipolit Jundziłł. — Gmach szkoły techniczno-chemicznej stanie przy ul. Nowowiejskiej na placu Urbano[illegible]

Petersburg. W celu rozwinięcia wykształcenia artystycznego wśród rękodzielników zaprojektowano pomiędzy innemi następujące środki: wprowadzenie obowiązkowego wykładu przedmiotów graficznych w szkołach miejskich początkowych i w szkołach okręgów przemysłowych; 2) uregulowanie wykładu w szkołach technicznych i fachowych w zakresie wykształcenia artystycznego; 3) opracowanie systemu normalnego i planu wykładu sztuk graficznych w szkole niższej i średniej na podobieństwo tego, jak to urządzone jest we Francyi i w innych państwach; 4) zadaniem wyższych instytucyj artystycznych powinno być przygotowywanie specyalnie wykształconych kierowników dla szerzenia sztuk graficznych w szkołach niższych i średnich. — *Petersb. Listok* zamieszcza następujące ostrzeżenie: „Osoby, otrzymujące wypłaty w złocie imperyałami i półimperyałami, powinny zwracać baczną uwagę na brzegi monety. Do kas skarbowych w Rewlu zaczęły mianowicie napływać monety z obciętymi i spiłowanymi brzegami. Ponieważ kasy skarbowe sprawdzają wagę takich monet, przeto właściciele byliby narażeni na stratę."

DONIESIENIA URZĘDOWE.

— Zarządzającym ministeryum spraw zagranicznych mianowany został poseł rosyjski przy dworze duńskim, br. Murawiew.

— Generał - gubernator finlandzki, br. Heyden, otrzymał uwolnienie na własną prośbę z powodu nadwątlonego zdrowia.

— Profesor uniwersytetu warszawskiego, Fischer v. Waldheim, mianowany został dyrektorem ogrodu botanicznego w Petersburgu.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Lekarze starają się o utworzenie przy warszawskiem Towarzystwie lekarskiem oddziału antropometrycznego. Narzędzia do pomiarów systemu Bertillona są już gotowe: pochodzą z wystawy hygienicznej.

— W wielu wsiach powiatów Warszawskiego i Nowomińskiego włościanie w celu zaoszczędzenia lasów zaczynają używać opału torfowego.

— P. Leon Grabowski, ku uczczeniu zmarłego syna, przeznaczył 5.000 rs. na stypendyum jego imienia. Fundusz ten złożono do depozytu Towarzystwa kredytowego m. Warszawy. Procenty mają podlegać wyłącznemu rozporządzeniu prezesa dyrekcyi. Z odsetek tych może korzystać student wydziału prawa uniwersytetu tutejszego.

— Lwowskie ochotnicze Towarzystwo ratunkowe udzieliło w r. 1896 pomocy 2,595 razy. Członków było 310.

— Towarzystwo ochrony drobnego przemysłu żydowskiego postanowiło ubezpieczyć swych członków na starość i utworzyć fundusz pożyczek bezprocentowych.

— Katolickie Towarzystwo dobroczynności w Krakowie utrzymuje własną szkółkę i przytułek dla starców i kalek.

— Lublin stara się o założenie Towarzystwa muzycznego.

— *Now. Wr.* donosi, iż projektowana gubernia Chełmska ma się składać z następujących powiatów: Siedleckiego, Bialskiego i Włodawskiego obecnej gub. Siedleckiej, oraz Chełmskiego, Krasnostawskiego, Hrubieszowskiego i Tomaszowskiego gub. Lubelskiej.

Nareszcie. Dotychczasowy kurator i administrator majątków ziemskich z zapisu Kickiego, p. Białecki, ustąpił ze swego stanowiska.

Sekcya rolna. Na styczniowem posiedzeniu rolników w poniedziałek ubiegły poruszono kilka bardzo ważnych spraw. P. Fr. Kuczyński mówił o znanych powszechnie błędach naszych gospodarstw, i wykazał główne środki, które ziemianom mogą przysporzyć dochodu. Szczególny nacisk położył na brak paszy odpowiedniej i nieracyonalną hodowlę inwentarza. Referent żąda zakładania kontrolowanych obór zarodowych, zaprowadzenia ksiąg hodowli inwentarza, udzielania odpowiednich zapomóg na poprawę koni zaprzęgowych i powozowych. Wreszcie pożądane jest podniesienie gospodarstw kobiecych. Redaktor *Zorzy*, p. Malinowski, odczytał sprawozdanie z działalności delegacyi przemysłu drobnego. O tym przedmiocie będziemy mieli wkrótce sposobność pomówić obszerniej. P. Jeziorański poruszył doniosłą kwestyę terminowego handlu zbożem, scharakteryzował stosunki, panujące za granicą i ze względu, że pierwej czy później ta forma handlu wejść musi w życie i u nas i że wkrótce prawdopodobnie powstaną giełdy zbożowe, radził, ażeby najbardziej interesowani, tj. rolnicy, zechcieli za pośrednictwem swoich towarzystw (u nas sekcyi rolnej) przedstawić władzom właściwym memoryały gruntownie opracowane. Mówca utrzymuje, że system amerykański, uderzający na ciągłą zniżkę, przeważnie szkodę przynosi wytwórcom rolnym. W końcu zaproponował, w celu opracowania memoryału, delegacyę, do której powołano pp.: Jeziorańskiego, L. Krzywickiego, A. Donimirskiego, S. Kempnera, A. Sulgowskiego, S. Dzierzbickiego i Piotrowskiego. P. Tadeusz Kossak odczytał referat o korzyściach mleczarni z centryfogą, a p. Piotr Danysz — sprawozdanie z wycieczki do Sobieszyna.

Szkoły. Stała komisya do spraw wykształcenia technicznego zajęta jest obecnie opracowaniem programu zbierania wiadomości z zakresu statystyki szkół ogólno-kształcących i fachowych.

— Zatwierdzono otwarcie szkoły młynarskiej w Królestwie Polskiem r. b. (*Łucz*).

— Zarząd kolei Dąbrowskiej otwiera szkołę rzemiosł dla praktykantów warsztatów kolejowych.

— W jesieni r. b. pierwsza szkoła piwowarska otwarta będzie w Moskwie.

— Centralny związek młynarski we Lwowie stara się o założenie szkoły specyalnej.

Koleje i komunikacye. Dla przewozu transportów na kolei środkowo-azyatyckiej ustanowiono od nowego roku 75 wiorst na dobę.

— Przed zaprowadzeniem powiększenia szybkości pociągów osobowych, wypróbowane będą wszystkie parowozy na kolejach prywatnych i rządowych tudzież pozostające w zapasie państwowym. Na każdym parowozie po rewizyi umieszczona będzie tablica, oznaczająca największą szybkość na godzinę.

Wystawy i zjazdy. Następny kongres literacki odbędzie się w Sztokholmie. Między innemi na porządku dziennym stoi sprawa własności literackiej utworów, zamieszczanych w prasie peryodycznej.

— W Moskwie otwarto wystawę sztuki francuskiej.

— Na wiosnę w Petersburgu otwarty będzie zjazd piwowarów.

— Na dzień 27 b. m. zwołano nadzwyczajny zjazd konwencyjny i taryfowy w celu ostatecznego postanowienia co do miejsc numerowanych w pociągach osobowych.

— W Moskwie odbędzie się w czerwcu wszechrosyjski zjazd przedstawicieli stowarzyszeń pracowników handlowych i przemysłowych.

— Pierwszy zjazd zawodowy wszystkich aptekarzów austryackich odbędzie się we Lwowie r. b.

Zdrowie publiczne. Najwyższa rada sanitarna w Wiedniu wezwała rząd do przedsięwzięcia środków, aby z powodu możliwości zawleczenia dżumy do Europy, były zastosowane przepisy konwencyi drezdeńskiej. Uchwalono zakaz pielgrzymek tegorocznych z Bośni do Mekki.

— Okręt „Nubia" z Kalkuty, Madrasu i Colombo, który przypłynął do Plymouthu, przywiózł żołnierzy chorych na cholerę.

Gospodarka miejska. Wobec ciągłego powstawania lichych domów, postanowiono wzmocnić kontrolę budowlaną. W tym celu rząd gubernialny mianował trzech nowych budowniczych cyrkułowych.

— Według zapewnienia *Kuryera Warszawskiego*, założone będą ogródki przed kamienicami czteropiętrowemi, które powstaną w Warszawie r. b. przy nowej ulicy prywatnej, równoległej do Karowej. Warto, ażeby ten zwyczaj zdrowotny, usuwający choć w części oschłość miejską, był jak najszerzej stosowany.

Katastrofy. Z Bombaju donoszą, iż na linii Boroda pociąg pocztowy spotkał się z osobowym. Wiele osób zabitych i ranionych.

Zmarli. Prof. August Streng, słynny mineralog niemiecki.

— Szyszkin, w Petersburgu; znany pejzażysta rosyjski.

Redaktor i wydawca **dr. fil. Al. Świętochowski.**

Дозволено Цензурою. Варшава 3 Января 1896 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa ul. Mazowiecka, Nr. 8.